Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 23. Listopada 1879 r. **Tom IX.**

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 43.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

LITWOSA.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Któryby można zatytułować: Zwierz w Sieci.

W parę dni potem, nie wiem dobrze czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy Baraniogłowskiej siedział wójt Burak, ławnik Gomula i młody Rzepa. Wójt wziął za szklankę.

—Przestalibyśta się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! — rzekł wójt.

— A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi — mówił Gomuła, uderzając pieścią o stół.

— Prusak psia jucha chytry! — odparł Rzepa.

— To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.

—Co wy wieta! Namocniejszy jest Harubanda. — (Garibaldi?)

— Musiśta wstali do góry... plecami. A wyśta skąd wyrwali Harubandę?

— Co go miałem wyrywać? Abo to ludzie nie gadali, że pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielgą? Ino mu się piwo w Warsiawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.

—Nie bluźnilibyście po próżnicy. Kużden śwab, to je żyd.

— Przecię Harubanda nie śwab.

— Ino co?

— Ba? co? musi: cysarz i basta?

— Oj straśnieście mądrzy!

— Wyśta też nie mądrzejsi:

—A kiejśta tacy mądrzy, to powiedzta, jakta było na przezwisko pierwszemu rodzicowi?

— Jak? juści: Jadam.

—No! to na krzestne imię, ale na przezwisko?

— Czy ja wiem.

—A widzita? A ja wiem. Na przezwisko było mu: „Skruszyła.“

— Chybaście pypcia dostali.

— Nie wierzyta to posłuchajta:

„Gwiazdo morza, któraś Pana,
„Mlekiem swoim wykarmiła!
„Tyś śmierci szczep, który wszczepił
„Pierwszy rodzic, skruszyła.

— A co, czy nie Skruszyła?

— No! juźci prawda.

— Napilibyśta się lepiej — rzekł wójt.

— Zdrowie wasze kumo?

— Zdrowie wasze.

— Haim!

— Siulim!

— Daj panie Boże szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale, że to było w czasie francusko-pruskiej wojny, ławnik więc Gomuła znowu wrócił do polityki.

— No napijwa się jeszcze — rzekł po chwili Burak.

— Daj panie Boże szczęście!

— Panie Boże zapłać!

— No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i odrzekł:

— Ej dobroć też to dobroć!

— A no jeszcze? — rzekł Burak.

— Nalejta.

Rzepa stawał się coraz czerwieńszy, Burak dolewał mu ciągle.

— A wy — rzekł wreszcie do Rzepy — to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedną ręką, a balibyśta się pójść na wojnę.

—Cobym się miał bać? Kiej się bić, to się bić.

Gomuła na to rzekł:

— Jenszy jest mały a odważny, jenszy wielgi i mocny a bojący.

— A nieprawda! — rzekł Rzepa — ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

— Kto was tam wie!?

— A ja pojedam — odparł Rzepa, pokazując pięść, jak bochenek chleba — że inobym was zajechał w pacierze tą pieścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

— A może i nie.

— Chceta spróbować?

— Dajta spokój! — wtrącił wójt. Będzieta się bili czy co? ot napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta, Rzepa zaś wypił całą szklankę araku, aż mu oko zbielało.

— Pocałujta się teraz — rzekł wójt.

Rzepa aż się rozpłakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem, że już podpił dobrze, poczem zaczął wyrzekać, gorzko wspominając graniaste ciele, które dwa tygodnie temu, zdechło mu w nocy w oborze.

— Oj! jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał odemnie! — wołał żałośnie.

— No! nie smućta się! — rzekł Burak. Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

— I po sprawiedliwości! Albo to pan las siał?

Ale potem zaraz znów zawodzić.

— Oj! co cielak był to cielak, jak ta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała.

— Pisarz mówił...

— Co mi ta pisarz! — przerwał gniewnie Rzepa. Pisarz dla mie:

„Tyle znacy
„Co Ignacy..

— Nie pomstowalibyście! Napijwa się!

Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtem drzwi się otworzyły, i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

— Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemię, powstał i wybełkotał:

— Pochwalony.

— Jest tu wójt? — spytał pisarz.

— Jest — odpowiedziało trzy głosy.

Pisarz zbliżył się; zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku — Zołzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole.

Chwilę panowało milczenie. Nakoniec Gomuła zaczął:

— Panie pisarzu?

— Czego?

— Czy to prawda wedle tego boru?

— Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.

— Ja tam nie będę podpisywał — ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.

— Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nie podpiszesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

— O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoją część płotem, żeby nie było sporów.

— To ta płot będzie więcej kosztował niż las wart — wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

— Na koszta płotu — mówił do wójta i ławnika — rząd przysyła pieniądze. Jeszcze każdy na tem zarobi, bo wypada po pięćdziesiąt rubli na głowę.

Rzepie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

— A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?

— Są u mnie — rzekł pisarz. A to dokument.

To rzekłszy, wydobył złożony we czworo papier i odczytał coś, czego chłopi wprawdzie nie rozumieli, bo było w obcym dla nich języku ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz, wydobywszy pieniądze, rzekł:

— No, który pierwszy?

Podpisywali kolejno — gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zołzikiewicz usunął dokument i rzekł:

— A może nie chcesz? To wszystko dobrowolnie.

— Ao nie mam chcieć!

A pisarz na to:

— Szmul!

Szmul ukazał się we drzwiach.

— Ny? co pan pisarz chce?

— Chodź i ty na świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potem znów powiada do Rzepy.

— Może nie chcesz.

Ale Rzepa już podpisał, i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potem wziął pieniądze od pisarza: całych pięćdziesiąt rubli, i schował je za pazuchę, zawołał:

— A dajta no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł; wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzemać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, nakoniec zwalił się z zydla, mruknąwszy: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!“ — i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała, że jeśli się upił, to może się jej co oberwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przepraszał żonę, całował ją po rękach. Po trzeźwemu nie dał jej nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jej się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca. Patrzy, wyłupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma, i nie alkierz, w którym siedział wczoraj, ale ogólna izba z szynkwasem.

— Imię Ojca i Syna i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiej, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwas, a w oknie stoi Szmul ubrany w smiertelną koszulę i w cycele na głowie; stoi w oknie i kiwa się i modli się głośno.

— Szmul psia-wiaro! — zawołał Rzepa.

Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył, i modlił się dalej

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop, przespawszy noc w karczmie. Namacał pieniądze.

— Jezu Maryja! a to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić, i zdjąwszy śmiertelną koszulę i cycele, poszedł je schować do alkierza, a potem wrócił wolnym krokiem poważny i spokojny.

— Szmul?

— Ny, czego chcesz?

— Co to ja mam za pieniądze?

— Co głupi nie wies? Toć się wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz losował i pyniądze wziąłeś i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana; rzucił czapkę o ziemię, potem sam grzmotnął się o nią, i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęsły.

— No! pasioł won — ty saldat! — rzekł flegmatycznie Szmul.

W półgodziny potem, Rzepa zbliżał się do chałupy. Rzepowa, która właśnie gotowała strawę, usłyszawszy go jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego spotkanie, gniewna bardzo...

— Ty pijaku! zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego, aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała.

— A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytyła wreszcie wszystkiego. — „Zaprzedali mnie“ — rzekł w końcu. Wówczas ona z kolei uderzyła w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczyć; Kruczek we drzwiach wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w ręku, pytając jedna drugiej:

— Co się tam u Rzepów stało?

— Musiał ją bić, czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziej niż Rzepa, bo miłowała ona jego nieboga nad wszystko w świecie.

V.

W którym poznajemy ciało prawodawcze Baraniej-Głowy i głównych jego przywódców.

Nazajutrz dzień było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całej gminy, z wyjątkiem panów, alias szlachty, z której jakkolwiek kilku w powiecie było ławnikami, ale tych kilku, nic chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiej, to jest zasady nieinterwencji, tak zachwalanej przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało to jednak pośredniego wpływu „intelligencji“ na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z „intelligencji“ miał sprawę, wówczas w wigilię posiedzenia zapraszał pana Zołzikiewicza do siebie; przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela intelligencji wódeczkę, podawano cygara, i wtedy obgadywała się rzecz z łatwością. Potem następował obiad, na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmemi słowami: „A no siadaj, panie Zołzikiewicz! siadaj!“

Pan Zołzikiewicz też siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: „Byłem wczoraj na obiedzie u Mieciszewskich, Skorabiewskich lub Ościeszyńskich. — Hm! córka w domu jest — rozumiem co to znaczy!“ Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy, tak jak uważał, że inni jedzą, i nie okazywać przytem, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbytecznie cieszyć.

Byłto człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć, dla tego iż nietylko nie tracił w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy, wspominając przytem „tego poczciwego komisarza!“ lub „tego wybornego sobie naczelnika,“ z którymi wczoraj lub onegdaj machnął maleńką pulkę po kopiejce punkt. — Słowem, starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszemi powagami w Osłowickim powiecie. Uważał wprawdzie, że, w czasie jego opowiadań, panie dziwnie patrzyły w talerze, ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie, dziwiło go także nieraz, że szlachcic, nie czekając aż on się żegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: „No! to bywaj zdrów panie Zołzikiewicz!“ ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przytem ściskając na pożegnanie rękę gospodarza domu, uczuwał w niej zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce, i drapiąc szlachcica w dłoń wygarniał w niej to *„coś szeleszczącego,“* nie zapominając jednak nigdy dodać: „A panie dobrodzieju! między nami to niepotrzebne! — a co do sprawy, może pan dobrodziej być spokojny!“

Przy tak sprężystym zarządzie, i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza, sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiej, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie,

że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos, i tłómaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać, resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczem szeleszczącem, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu, i podczas przebiegu ich spokojnie siedział, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się poprostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściślej, z panów, jeden tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo, jako ławnik, na sądach gminnych i twierdził, że intelligencja powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być „czerwony“, czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło; chłopi zaś, w demokratycznem poczuciu własnej odrębności, utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednej ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że „*jensze* panowie tego nie robią.“ W ogóle, chłopi mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczem szeleszczącem zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu, jako ławnik, nakazał mu nawet milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna; skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranku, wobec całej gminy, z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: Albo to wielmożny pan to pan? — Pan Ościeszyński to jest pan, pan Skorabiewski, to jest pan, a wielmożny pan, to nie pan, ino dorobiec!“ Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą-Wolę, plunął na wszystko, i gminę pozostawił gminie, tak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu, Szlachta zaś mówiła „doigrał się,“ przyczem, na obronę zasady nieinterwencji przytaczano, jedno z przysłów stanowiących mądrość narodów, które miało dowodzić, że chłopa ulepszyć nie można.

Gmina tedy, nie zakłócana udziałem „intelligencji“ radziła o własnych sprawach, bez pomocy powyższego pierwiastku, a za pośrednictwem tylko baraniogłowskiego rozumu, który przecież dla Baraniej-Głowy powinien był wystarczać, na mocy tejże zasady, na mocy której paryzki rozum wystarcza dla Paryża. Zresztą, pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek, albo inaczej, tak zwany: „zdrowy chłopski rozum“ więcej jest wart od każdej obco-żywiołowej intelligencji — że zaś mieszkańcy kraju, z urodzenia już ów „zdrowy rozum“ na świat przynoszą, to zdaje mi się nie potrzebuje być dowodzonem.

Okazało się to także zaraz w Baraniej-Głowie, gdy na posiedzeniu, o którem mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem, na przestrzeni swych gruntów, naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten, w ogóle, nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym „*patres conscripti*“ jeden zaś z miejscowych senatorów, wyraził światły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu: „*pro publico bono*“ ale pana Skorabiewskiego nie było, i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencji. Projekt więc byłby przeszedł niezawodnie *unanimitate*, gdyby nie to, że pan Zołzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał pannie Jadwidze scenę uduszenia dwóch jenerałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w „Izabeli hiszpańskiej“ wydawnictwa pana Breslauera. po obiedzie zaś, przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego, poczuł w ręku coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, położył pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

—Pan pisarz chce cosik pojedzieć—rozległy się głosy w zgromadzeniu.

— Ja chcę powiedzieć, żeście durnie — odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwej parlamentarnej wymowy, choćby w najtreściwszej zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższem orędziu, oznaczającem protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnej polityce ciała baraniagłowskiego, ciało wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie, po długiej chwili milczenia, jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

— Abo co?

— Boście durnie!

— Musi tak być! — ozwał się jeden głos.

— Łąka łąką — dodał drugi.

— A na wiosnę, to nawet bez nią nie przejechać — zakończył trzeci.

Skutkiem tego, poprawka zalecająca łąkę pana Skorabiewskiego, upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca, wedle nadesłanego kosztorysu. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umysły ciała prawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykręcić, z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, ktorzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzej.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne poświęcenie się ze strony wójta i ławnika — jak każda cnota, wychodząca poza obręb pospolitości, obudziło pewną zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołała jeden głos protestacji, który ozwał się gniewliwie.

— A wy to dlaczego nie będzieta płacić!

— A cóże my to będziem darmo pieniądze dawać, kiej tego co wy zapłacita wystarczy — powiedział na to Gomuła

Byłto argument, na który, spodziewam się, nietylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi, głos zatem protestującego umilkł na chwilę a po chwili odrzekł tonem przekonania:

— A prawda! (C. d. n.)

OBECNY STAN METEOROLOGJI.

W ostatnich kilku lat dziesiątkach nauki przyrodnicze przeszły w swym historycznym pochodzie jakby jaką nową epokę odrodzenia. Przez lat kilkadziesiąt wszystkie gałęzie wiedzy przyrodniczej przeobraziły się do niepoznania i doszły w krótkim stosunkowo czasie do niesłychanego rozwoju. Postęp szedł olbrzymiemi krokami naprzód, popierany w swym biegu swobodą myśli i swobodą badania, które się stały własnością ludzkości dopiero w ostatnich czasach. Odkrycia olbrzymiej doniosłości następowały po sobie, a wiele z nich otwierało zupełnie nowe pola i nowe nieznane krainy wiedzy, jak sławni podróżnicy odkrywali nieznane lądy, a jak dziś kształt geograficzny wszystkich lądów na ziemi jest w ogólnym zarysie znany, także i całość przyrodniczej wiedzy została w ogólnych zarysach zbadaną. Astronomia, fizyka, chemia, biologja stały się w głównych punktach własnością ogółu; potężne odkrycia w rodzaju rozbiorów widmowych, teorji mechanicznej ciepła, prawa ogólnej zamiany sił, teorji naturalnego rozwoju, od razu popychały naprzód odpowiadające im gałęzie wiedzy, a były tak doniosłemi i tak niespodziewanemi, że się ogół niemi zajmował i spory początkowe w gabinetach uczonych, przechodziły do szerszych kół publiczności.

Dla tego też w tych umiejętnościach więcej można spotkać znawców, niż w meteorologji, która chociaż także się rozwinęła na wielką skalę, lecz, która nie robiła postępów raptownemi krokami; owszem powoli i nieznacznie, drobiazgami nie zwracającemi uwagi ogółu, budowała sobie gmach, który dziś już jest bliski ukończenia, a w obecnym nawet stanie oddaje olbrzymie usługi ludzkości tam, gdzie jest racjonalnie zastosowanym.

Najmniej miano zaufania do tego, że się pozna prawa rządzące tak ruchomą i niestałą rzeczą, jak powietrzne morze otaczające ziemię. Jednak skoro się przyjrzymy obecnemu stanowi meteorologji, to zobaczymy jak daleko zbliżyła się ona do swego idealnego zadania, najbardziej praktycznego: *przepowiadania pogody*. Do tego rozwoju przyczynił się przedewszystkiem poprzedzający wszelkie odkrycia meteorologiczne, olbrzymi rozwój innych gałęzi wiedzy i nowe a potężne środki pomocnicze, któremi obecnie nauka rozporządza. Najdonioślejszym z nich telegraf, dający z błyskawiczną szybkością wiadomości na wszystkie strony świata, o zmianach, które gdzieś na powierzchni ziemi zaszły i dozwalający w ten sposób zestawienia chwilowego stanu powietrza w najrozmaitszych stronach i wyprowadzenia ztąd wniosków na przyszłość.

Nie mamy zamiaru podać tutaj, chociażby tylko w ogólnych zarysach ogólnego stanu meteorologji. Chcemy tylko zwrócić uwagę na niektóre punkta, stanowiące przedmioty badań i nowsze postępy tej nauki, o ile na to ciasne ramy artykułu pozwolą.

Nauka meteorologji w systematycznym układzie zajmuje się rozkładem ciepła na ziemi, parą wodną grającą tak ważną rolę w meteorologji, i różnicą w ciśnieniu powietrzem, opadami i osadami atmosferycznemi, wpływem tych wszystkich czynników jeden na drugiego, burzami, elektrycznością powietrza i w ogóle temi wszystkiemi zjawiskami, które w powłoce powietrzej ziemi zachodzą, a które swem współdziałaniem dają w każdej chwili istniejący stan pogody.

Najważniejszą rolę gra naturalnie temperatura i jej różnice wywołane tak położeniem geograficznem, jak też i chwilowemi wpływami. Razem, do wywołania rezultatów ogólnych, łączy

się tu ciepło trzech składowych części ziemi w różnych stanach, ziemi, morza i atmosfery.

Kwestja, która się obecnie na porządku dziennym znajduje, jest, czy główna ilość ciepła od słońca pochodzi, czy też i gwiazdy w znacznym stopniu przyczyniają się do podniesienia temperatury. Gdybyśmy za pomocą naszych przyrządów chcieli mierzyć wprost ciepło przesyłane przez przestrzenie międzyświatowe do nas, chociażby od najbliższej gwiazdy, toby się to nam nie udało. Zbyt drobną jest ilość tego ciepła promieniejącego, które nie zabsorbowane i nieużyte na ogrzanie przestrzeni świata, dochodzi do nas. Lecz pamiętajmy, że każda z gwiazd świecących jest potężnem ogniskiem, gorejącem jak słońce, że takich ognisk jest ilość niezliczona i że suma wszystkich promieni ciepła dochodzących do ziemi musi być znaczną. Mało jeszcze mamy danych, żeby przeprowadzić dokładne obliczenie ilości przysyłanego od gwiazd ciepła. Jednak ciepło to możemy wyłączyć obecnie z czynników meteorologicznych, gdyż ono rozkłada się jednostajnie na całym naszym globie i nie prowadzi do żadnych przewrotów chwilowych.

Dziś na całym świecie cywilizowanym istnieją stacje, które o oznaczonych godzinach zbierają na termometrach dane co do stanu temperatury. Z olbrzymiej ilości takich reguł, wyprowadzono po długim czasie niektóre ogólne wnioski znane już powszechnie. Przez długi czas błądzono i tu omackiem, a dopiero w ostatnich czasach znaleziono racjonalny sposób wyprowadzania wniosków. Kongresy meteorologiczne, a w szczególności kongres wiedeński, ustanowiły reguły do obserwacji, przyjęte prawie ogólnie. I tak naprzykład dla oznaczenia średniej temperatury dnia, bierze się dzisiaj trzy obserwacje, o szóstej godzinie rano, o drugiej popołudniu i o dziesiątej wieczorem.

Ze znanych miejscowości na ziemi na północnej półkuli najzimniejszemi są okolice północno-wschodniej Syberji i strony leżące na północ zatoki hudsońskiej. Temperatura opada tam nieraz w zimie o 50 stopni Celsiusza niżej zera. Te dwie okolice stanowią jakby dwa osobne bieguny zimna na północnej połowie globu ziemskiego. Jeden z nich leży w bliskości Jakucka, drugi koło wysp Parry'ego.

Wiadomo, że temperatura atmosfery zmniejsza się z wysokością. Zjawisko to zostało dokładnie wytłumaczonem na podstawie teorji mechanicznej ciepła i znaleziono prawo, według którego ta temperatura się zmniejsza. I tak, gdyby nie było wilgoci w powietrzu, to na każde sto metrów wzniesienia się, musiałaby upaść o jeden stopień. Jednak para wodna zmienia często ten stosunek, w ten sposób, iż zmniejszenie daleko wolniej się odbywa. Są także dość częste wypadki nienormalne, że idąc w górę znajdujemy coraz wyższy stopień ciepła. Powstaje to następującą drogą. W nocy, w ładną pogodę, wskutek silnego wypromieniowywania ciepła na zewnątrz, w przestrzenie międzyświatowe, powierzchnia ziemi oziębia się bardzo, a razem z nią i przylegająca warstwa powietrza, która się ściąga od zimna i staje gęstszą, więc i cięższą. Takie zimne i gęste powietrze płynie, jak strumień jaki na dół, po wygłębieniach i dolinach, które na powierzchni ziemi spotyka, w kierunku ku morzom, lub ku miejscom, gdzie jest ciepła i lekka atmosfera. Po nad ziemią krąży wtedy zimny prąd, gdy tymczasem wyżej jest cieplej i to nieraz w bardzo znacznym stopniu. Ponieważ takie prądy trzymają się zagłębień ziemi, pochylających się stopniowo, więc też tak możemy sobie wytłumaczyć chłodny klimat niektórych miejscowości, leżących nad rzekami.

Najwybitniejszy przykład tego spotykamy w wschodniej Syberji, krainie nadzwyczaj interesującej pod względem meteorologicznym. Weźmy okolice rzeki Amuru. Nerczyńsk na 51° szerokości północnej ma średnią temperaturę w miesiącu Styczniu — 29·2°, Błagowieszczeńsk leżący na pięćdziesiątym stopniu ma zaledwie — 24·5°, Nikołajewsk na 53° ma — 22.9°, a Ajan, daleko bardziej posunięty na północ (56°) w Styczniu posiada średnią temperaturę zaledwie — 20°.

Na ogólny stan powietrza wpływa w potężnym stopniu temperatura mórz, która jest bardzo zmienną i która nie została tak dokładnie zbadaną, jak na powierzchni ziemi. Lecz z stosunkowo niewielkiej ilości faktów, dowiedzieć się można na pewno, że i tam jest pewien dokładny rozkład ciepła, dający się wyrazić izotermami, liniami równej temperatury, jak na lądzie. Na oceanach nie ma stacyj meteorologicznych i trzeba zadowalniać się po większej części spostrzeżeniami zbieranemi przez okręta. Otóż przekonano się, że największa i najmniejsza temperatura nie przypada na miesiące Sierpień i Luty. Na południowej półkuli, pomiędzy Afryką a Ameryką południową, leży okolica największej temperatury morza Atlantyckiego, objawiającej się w miesiącu lutym Przy Cap Roque morze ma wtedy średnio 27·5° C., a w zatoce gwinejskiej 28·5°. W miesiącu sierpniu najwyższa temperatura przenosi się na północ od równika do Atlantyckiego oceanu i wtenczas wynosi w meksykańskiej zatoce i morzu karaibskiem do 29°. Ztamtąd idąc w górę temperatura prędko się zmniejsza, ku biegunem idąc wzdłuż brzegów amerykańskich. Nie tak szybko dzieje się to przy brzegach europejskich, gdzie izotermy na morzu podnoszą się do góry, ku północy.

Ogólnie biorąc, temperatura morza zmniejsza się w tych miejscach, gdzie głębokość staje się większą, chociaż i tego nie można wziąć za ogólną regułę, bo prądy podmorskie, płynące w głębiach, zmieniają je niekiedy do niepoznania.

Innym ważnym czynnikiem, równorzędnym z temperaturą, jest para wodna zawieszona w powietrzu i przejawiająca się potem w kształcie osadów. Tworzy ona jedno z ogniw wielkiego i wiecznego kołowrotu, który woda na powierzchni ziemi pod wpływem ciepła słonecznego odbywa. Z mórz wznosi się w obłoki, spada na wyżyny w kształcie deszczu, spływa na dół i napowrót zamienia się w parę, idąc do dalszego krążenia. Para wodna, wydobywając się ma dążność ułożenia się jednostajnie na powierzchni ziemi i jednostajnego mięszania się z powietrzem. Lecz gdy się para w jednem miejscu rozwija, to napotyka, do swego rozejścia się na wszystkie strony, opór w suchem powietrzu. A przytem tu powietrze nigdy nie jest spokojne, więc istnieje ciągłe wzajemne działanie tych czynników na siebie i ciągłe przewroty meteorologiczne. Jak dym wydobywający się z kominów, tak i para wodna roznoszona zostaje przez ruchome morze powietrzne na wszystkie strony. Gdzie się para w większej ilości rozwija, tam część jej mięsza się z powietrzem, a część, nie mająca dosyć na to czasu, rozpycha je na wszystkie strony. Do ruchu, w ten sposób wywołanego, przyczynia się i różnica temperatur tak, że nigdy do stanu idealnego rozłożenia się pary wodnej w powietrzu przyjść nie może.

Do oznaczenia ilości pary wodnej w powietrzu, używa się hygrometrów najrozmaitszego gatunku, z których najlepsze i najwiarygodniejsze rezultaty dają takie, których zasadą jest bezpośrednie oznaczenie ilości wody, zawartej w pewnej objętości powietrza.

Z zestawienia dotychczasowych spostrzeżeń, oznaczono maxima i minima hygrometrycznego stanu, dla różnych miesięcy, lecz otrzymane w ten sposób linie, nie mają żadnego porównania z izotermami, co do dokładności.

Spostrzeżenia tyczące się ciśnienia powietrza, jako jedne z najważniejszych w meteorologji, od dawna były szczegółowo badane i one najbardziej przyczyniają się do przepowiedni meteorologicznych. Instrument służący do takich spostrzeżeń, barometr, został poznany we wszystkich swoich właściwościach i otrzymuje się za pomocą niego zupełnie zadowalniające rezultaty. W kierunku prac nad rozłożeniem ciśnienia powietrza, najwięcej zasługi położył Aleksander Buchan, którego linie równego ciśnienia, tak zwane linie izobaryczne, wiele się przyczyniły do postępu meteorologji. Często bardzo w rozmaitych pismach specjalnych, a niekiedy i w politycznych znajdujemy takie linie zestawione dla każdego tygodnia albo miesiąca. Z zestawienia takich linji pokazuje się, że zmiana położenia geograficznego od biegunów ku równikowi nie powoduje regularnych zmian ciśnienia barometrycznego. Znajdujemy na powierzchni ziemi niektóre punkta, w których ciśnienie jest najmniejszem i ztamtąd na wszystkie strony idąc, spotykamy coraz większe. Odwrotnie są punkty w których ciśnienie jest najcięższe i czem dalej od niego, tem ono się zmniejsza. Jeżeli przeprowadzimy linie proste pomiędzy punktami największego ciśnienia a najmniejszego, to gdzieś koło środka takich linii znajdziemy punkta średniego ciśnienia odpowiadające mniej więcej wysokości słupa rtęci na 760 milimetrów. Jeżeli takie wszystkie punkty połączymy za pomocą krzywej, to otrzymamy odgraniczenie, między okolicami mniejszego a okolicami większego ciśnienia. Z zestawień dotychczasowych spostrzeżeń wypada, iż na lądach w zimie jest wyższe, a latem, ogólnie biorąc, niższe ciśnienie. Oprócz tego po nad równikiem między 30 a 40° szerokości północnej, a pod nim między 20 a 30° znajdują się pasy stałego wyższego ciśnienia.

W ścisłym związku z ciśnieniem znajdują się wiatry, które od niego przeważnie zależą. Wykryto tu pewne prawa najzupełniej już stwierdzone.

I tak jedno z nich brzmi, że wiatr zawsze wieje w kierunku od stron z większem ciśnieniem, ku takim, które mają ciśnienie mniejsze. Gęstsze powietrze bieży ku rozrzedzonemu, w ten sposób miejsca, w których jest najmniejsze ciśnienie, otrzymują wiatry zbiegające się ze wszystkich stron, a z tych, w których jest największe, wiatr ucieka ku miejscom o powietrzu rozrzedzonem. Lecz reguła ta nie jest zupełnie ścisłą w tem znaczeniu, że wiatr nie wieje w prostym kierunku między punktami maximum i minimum, a więc prostopadle do linji izobarycznych, lecz zbacza i to w północnej półkuli na prawo, a w południowej na lewo, starając się zbliżyć do kierunku linji izobarycznych.

Ztąd wyprowadza się praktyczna reguła do oznaczania kierunków, w których leżą punkty

największego i najmniejszego ciśnienia. Stańmy tak, żeby wiatr wiał nam w plecy, a wtedy w naszych sferach, na półkuli północnej, to najwyższe ciśnienie będziemy mieli po prawej ręce, nie wprost, tylko nieco ku tyłowi, a najniższe ciśnienie po lewej i trochę ku przodowi.

To jest kierunek poziomy ruchów powietrznych. W kierunku pionowym panuje ogólna reguła, że w miejscach niskiego ciśnienia powietrze podnosi się do góry, a w miejscach wysokiego upada na dół. Jednak w tym względzie nie ma jeszcze szczegółowych i wyczerpujących badań.

Zupełnie podobnemi do prądów powietrznych są prądy na morzach. Jak powietrze, tak i wody odbywają ruchy wskutek różnicy ciśnienia, różnicy gęstości, wywołanej przeważnie różnicą w temperaturze. Prądy morskie są nadzwyczaj ważne ze względu na to, że wpływają znakomicie na klimaty krain nadbrzeżnych i mają wpływ bezpośredni na kierunek wiatrów. Powietrze w zetknięciu z wodą stara się przybrać jej temperaturę, a więc w swych ewolucjach zawisłem jest od tego co w morzu zachodzi. Z czasem, gdy zbierze się większa ilość odnośnych spostrzeżeń, otrzymają się szczegółowe prawa rządzące wiatrami na ziemi a korzyści ztąd dla marynarki, a więc dla handlu i stosunków międzynarodowych, są nieobliczone.

Przy zejściu się pewnych warunków, para wodna w powietrzu przejawia się w kształcie opadu lub osadu. Następuje to mianowicie, jak powszechnie wiadomo, wtedy, gdy sama massa powietrza zawierająca parę wodną, oziębi się tak dalece, że zbyteczna ilość pary wodnej zostaje wydzieloną. Stosownie do rodzaju oziębienia znajdujemy rozmaite formy, w jakich to wydzielenie następuje. Najzwyklejszem zjawiskiem jest rosa, która osadza się na powierzchni ziemi. Przez noc jasną, powierzchnia ta, wysyła promienie ciepła na wszystkie strony, więc się oziębia a razem z nią i przylegająca warstwa powietrza w której osadza się woda. Jeśli osad pojawia się od razu w stanie stałym, to otrzymujemy szron. Mgła tworzy się wtedy gdy jest różnica temperatury między ziemią a warstwą powietrza ją otaczającą. Wtedy para wodna wydziela się w kształcie pęcherzyków przyćmiewających widok. Mgła powstaje jeśli nad zimną ziemią wieje wolny lecz wilgotny wiatr, albo gdy nad ciepłą wodą przewiewa wiatr zimny. W tym ostatnim wypadku powietrze jest za zimne, żeby zmieścić w sobie całą ilość pary wodnej, więc część jej przejawia się w postaci mgły.

Powstawanie obłoków jest również jasnem jak i powstawanie mgły. Tworzą się one albo przez zetknięcie ciepłych i zimnych prądów powietrza, albo też wtedy gdy ciepłe i zawierające parę wodną powietrze, podnosi się w górę i tam oziębia wydzielając wodę w kształcie pęcherzyków albo też igiełek lodowych. Im ilość pary w podnoszącym się do góry prądzie jest mniejszą, tem też i większą jest wysokość, na na której dopiero zaczynają się tworzyć obłoki. Ta wysokość, na której tworzą się i zawieszają obłoki, zależną jest także od siły prądu idącego w górę, a więc od stopnia nagrzania. W ten sposób powstają różnice w wysokości obłoków, zawieszonych nad naszemi głowami. Jeśli wydzielanie zbytecznej ilości pary wodnej, wskutek szybkiego i znacznego oziębienia, jest znaczne, to powstaje wtedy deszcz albo śnieg, stosownie do tego czy temperatura jest niższą czy też wyższą od zera.

Co do powstawania gradu, obiegają dotąd jeszcze najrozmaitsze teorje, lecz nie ma żadnej zadowalającej.

Rozpatrywaliśmy dotąd pojedyncze czynniki meteorologiczne, które dopiero w współdziałaniu wzajemnem na siebie, dają to co nazywawamy pogodą. Zadaniem meteorologji, jest znalezienie praw rządzących tem wzajemnem oddziaływaniem czynników na siebie, lecz tutaj badacze mają z nadzwyczajnemi trudnościami do czynienia. Mało jeszcze jest dotąd dat i spostrzeżeń, więc gmach cały nauki o pogodzie nie stanął jeszcze w całej swej okazałości, lecz tylko widać jego ogólne zarysy lecz nie ulega już wątpliwości, że wielkie zadanie zostanie z czasem rozwiązane.

Stan pogody w pewnem oznaczonem miejscu zależy przeważnie od kierunku wiatru a ten znowu od rozkładu ciśnienia barometrycznego. Żeby więc przepowiednie pogody mogły być zupełnie wiarygodnemi, trzeba odszukać prawa rządzące rozkładem mniejszego i większego ciśnienia powietrza na powierzchni naszej ziemi i wędrówek, które punkta maximum i minimum odbywają.

Wiatry, które pochodzą od strony równika, odznaczają się przeważnie najwyższą temperaturą, największą ilością pary wodnej, wielką ilością chmur, deszczu i nizkiem ciśnieniem powietrza. Zupełnie odwrotnie dzieje się z wiatrami od bieguna przychodzącymi. Lecz kierunek tych wiatrów z ich charakterystycznemi cechami zależy od położenia geograficznego danego miejsca. Najwybitniejszymi ze wspomnianych wyżej wiatrów są wiatry równikowe, przybiegające z nad powierzchni morza i wiatry podbiegunowe przybiegające z powierzchni lądów. Na naszej północnej półkuli mamy więc najgorętsze, najbardziej dżdżyste wiatry, na zachodzie Europy, biegące w kierunku od południo-zachodu, na wschodzie Europy z południo-wschodu. Tymczasem najzimniejsze, najsuchsze i najczystsze wiatry, o największem ciśnieniu, wieją na zachodzie Europy z północo-wschodu, a na wschodzie z północo-zachodu. W naszych więc okolicach przypadałyby najskrajniejsze co do swych czynności meteorologicznych wiatry południowo wschodnie i północno-zachodnie. Pierwsze byłyby najbardziej dżdżystemi i najcieplejszemi, drugie najsuchszemi i najzimniejszemi. Ma to znaczenie głównie dla miesięcy zimowych. Latem wiatry przybiegające z głębi lądów, są zwykle najcieplejszemi.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę większą przestrzeń ziemi, to przekonamy się, że wiatry zależą od rozkładu ciśnienia powietrza. Przypomnijmy sobie tylko to, że wiatry idą zwykle w kierunku od punktów największego ciśnienia, ku punktom, posiadającym ciśnienie najmniejsze. Lecz jak już wyżej wspominaliśmy, ruch ten odbywa się nie w kierunku prostym, lecz zbacza zbliżając się do linji izobarycznych, łączącym miejsca o jednem ciśnieniu. Jeśli weźmiemy pod uwagę jakąkolwiek cząstkę powietrza i będziemy śledzili jej przebieg, to przekonamy się, że ona nie bieży wprost ku miejscu, gdzie jest powietrze rozrzedzone, lecz zbliża się tam spiralnie zakreślając coraz mniejsze koła. Punkt minimum barometrycznego, jest środkiem tego ruchu wężownicowego.

W innych okolicach, na północnej półkuli, obrót ten odbywa się odwrotnie, niż słońce na firmamencie. Możemy ten ruch porównać z ruchem wskazówek zegara, któreby chodziły odwrotnie niż zwykle.

Lecz punkt minimum barometrycznego nie pozostaje na miejscu. I on odbywa swoją drogę i to nieraz w bardzo znacznych rozmiarach i z wielką szybkością. Wiatry odbywają rodzaj tańca wirowego. Dwa ruchy kombinują się razem. Naprzód kręcą się około środka rozrzedzenia, a potem posuwają się naprzód razem z tym środkiem. Najprędzej bieży środek po oceanie Atlantyckim. Na lądach ruch jest daleko powolniejszy.

Gdyby nie ciągłe zewnętrzne wpływy, to rozrzedzenie znaczne powietrza w jednem miejscu nie mogłoby długo się ostać. Nastąpiłaby równowaga i wyrównanie. Lecz różnice te ciągle są podsycane spierającemi się wiatrami. Badając okolice obu stron otaczających środek wiatrów, przekonano się iż panują tam zupełne kontrasty. Z jednej strony wiatry mają charakter podrównikowy, z drugiej podbiegunowy. Dwie te siły różne działają na obu stronach minimum barometrycznego. Z jednej strony, od tyłu wciska się wiatr, o gęstem powietrzu i stara się wyrównać rozrzedzenie w środku, a z drugiej wiatr zniża stan barometru. W skutek tego miejsce minimum barometrycznego przesuwa się naprzód i powstaje ztąd jego przenoszenie się postępowe z miejsca na miejsce.

Wędrówki w ten sposób odbyte są nieraz bardzo długie i dosyć często wirowy taniec wiatrów przebiega z Ameryki przez ocean Atlantycki do Europy.

Jeśli szybkość wiatru jest bardzo znaczna, to mamy wtedy burzę przed sobą. Burze i zwykłe wiatry rządzone są temi samemi prawami, i w przebiegu swym odbywają takiż sam taniec wirowy, który znany jest na oceanach po nazwą cyklonu. Burze tego rodzaju są niezmiernie interesujące a ich przebieg został w ostatnich czasach dokładnie zbadanym.

Przypatrzmy się takiemu cyklonowi, tworzącemu się w okolicach podzwrotnikowych, na wybrzeżach amerykańskich. W środkowej części, wysokość słupa rtęci w barometrze wynosi zaledwie 700 milimetrów. Na przestrzeni dwóch do czterech mil wysokość pozostaje ta sama. Tam cisza panuje. Natomiast naokoło krążą wichry, opisując prawie koła i barometr raptownie podskakuje do góry. Po nad tem wszystkiem unoszą się potężne chmury wyrzucające potoki wody i tak ciemne, że nieraz w dzień biały zmrok nocny prawie sprowadzają. Takie zwrotnikowe cyklony powstają zwykle około dziesiątego stopnia na północ i na południe od ekwatoru. Z samego początku poruszają się prawie wprost w górę, ku zwrotnikom, i tam odchylają się ku wschodowi, opisując krzywą linię podobną do paraboli.

Ponieważ w środku takiej burzy powietrze jest rozrzedzonem, więc tam woda podnosi się do góry i tworzy olbrzymią falę, przesuwającą się razem z burzą. A gdy dobierzy cyklon do lądu, wtedy zalewa tą wodą całe nadbrzeże. Wynikały ztąd niejednokrotnie olbrzymie klęski, z których jedna z największych jest ta, która nawiedziła Indje angielskie parę lat temu. W strasznej powodzi zginęło przeszło 300.000 ludzi.

Jeśli średnica cyklonu jest stosunkowo bardzo małą, to otrzymują one nazwę *tornadów*.

których rozrzedzenie wewnętrzne bywa nieraz bardzo znaczne i jeśli przechodzi pewną granicę, to wtedy powstają straszliwe dla marynarzy trąby morskie.

Br. Abakanowicz.

PARASOL PANA THOMPSON.

przez

K. DICKENSA.

(*Dokończenie*).

II.

Z pewnością nie było to winą Jessie, że jej mąż był najbliższym spadkobiercą mojej ciotki, która zresztą nie zostawiła wielkiego majątku, ale miałam wiele przykrości przy odbieraniu mego działu. Biedna, kochana ciotka miała ciągle zamiar zapisać mi coś testamentem, ale śmierć nagła przeszkodziła jej projekt ten wprowadzić w wykonanie. Pan Norris, jak utrzymywano obszedł się ze mną bardzo wspaniałomyślnie. Zostawił mi fortepian kupiony dawniej dla mnie, kilka innych przedmiotów małej wartości, i całą garderobę ciotki. Sam wziął bardzo piękne kosztowności i umeblowanie, które, jak słusznie mówił, na nicby mi się nie przydało. Oprócz tego pozwolił mi mieszkać w willi aż do 25 marca, co żadną z jego strony nie było łaską, bo miał zapłacone swoje mieszkanie i naraz w dwóch domach nie mógł mieszkać.

Przez następne kilka miesięcy byłam w rozpaczy. Miałam wprawdzie kilka osób, które robiły a raczej mówiły co mogły, aby mnie pocieszyć, jeden tylko, który nie przyszedł nigdy, nie dał najmniejszego znaku życia, zostawił mnie samą w nieszczęściu, nie podawszy nawet przyjaznej ręki. Mógłby przecież napisać do mnie kilka słów współczucia, ale nie uczynił tego. A był jednakże tuż w sąsiedztwie, często widywano go u Mrs Norris. Sama Jessie mi o tem mówiła. Prawda, że miewał różne sprawy do załatwienia z panem Norris. Bywał tam często, a wkrótce uczynił jeszcze więcej, pan Norris spadł z konia i przyniesiono go nieżywego do domu. Jessie została wdową, a stosunki jej majątkowe również były niedobre. Pan Norris nie był tak bogaty, jak powszechnie mniemano; zostawił nawet długi. Tylko raz jeden odwiedziłam Jessie; pod ciosem nieszczęścia była zimna i niedowierzająca dla mnie; jednakże wróciłabym do niej, gdyby pan Thompson nie był wykonawcą testamentu pana Norris, co sprowadzało go zbyt często do młodej wdowy, a ja obawiałem się być zbyteczną przy nich. Unikałam spotkać go u niej. Bezwątpienia było to przykrem dla mnie, ale tak było.

Mrs Gray często przychodziła mnie odwiedzać; wizyty te jednak nie robiły mi wielkiej przyjemności. Nagabywała mnie swemi radami i recytowała nowiny, których wolałabym była nie słyszeć. Cóż mnie to obchodziło teraz, że interesa sukcesyjne zatrzymywały go tak często i tak długo u Jessie? Oboje byli wolni; jeżeli on uważał za stosowne przebaczyć i ożenić się z nią, a ona ze swej strony chciała powtórnie iść za mąż dla pieniędzy, cóż mnie to mogło obchodzić?

A jednakże nie byłam tak obojętną, jak się starałam okazać, gdyż kiedy pewnego popołudnia w lutym Mrs Gray raz jeszcze poruszyła tak drażliwą i bolesną dla mnie stronę. Pan Thompson zdawał się być zakochanym w Mrs Norris. Pomyśl tylko moja droga — dodała Mrs Gray — myślał żeś wyjechała; zdziwił się ogromnie gdym mu powiedziała, że widziałam cię w niedzielę. Albożnie jest w Londynie? — zapytał — Nie, odpowiedziałam, cóżby ona tam robiła? Nic na to nie odpowiedział, ale zmiarkowałam z tego wszystkiego, że był przekonany, że jesteś narzeczoną. Bardzobym sobie tego życzyła; rzekłam, bo smutno jest w tym wieku widzieć się osamotnioną. Pewna jestem, że i on jest tego samego zdania; żałuje bardzo sieroty, podobnie jak młodej wdowy i dlatego to prawdopodobnie Mrs Norris, że on ją często odwiedza, nie czuje tak bardzo swego osamotnienia.

Możecie zgadnąć z jakiem uczuciem słuchałam tych plotek. Usiadłam przed kominkiem rozmyślając nad smutnem położeniem. Śnieg padał od rana; zachmurzone niebo, ogród zasłany cały białym kobiercem i milczenie jakie panowało w około na wsi, wszystko jeszcze bardziej przyczyniało się do mego smutku. Nie byłam wprawdzie samą. Na początku zimy, wzięłam do siebie jakiegoś zbłąkanego psa, umierającego z głodu, nie był on rasowym, jednak bardzo się do niego przywiązałam. Przestał się włóczyć, zawsze i wszędzie chodził za mną i w tej chwili rozciągnięty na dywanie, spał przed kominkiem. Biedny Carlo! nie myślał o przyszłości, a przecież jak długo jeszcze będę go mogła mieć przy sobie? Jeżeli go opuszczę któż mu da przytułek? Nie był ani piękny ani młody, był tylko przywiązany i wierny, a kogoż to obchodzić może? Łzy mi stanęły w oczach. Czy to tylko z litości nad biednem zwierzęciem? Zdaje mi się, że myślałam także o czem innem.

... Nie wiem ile czasu upłynęło od wyjścia Mrs Gray, gdy usłyszałam szczekanie Carla. Ktoś zadzwonił do furtki ogrodowej, zobaczyłam jakiś cień przesuwający się pod oknem, a w chwilę potem Nancy pokojówka, otworzyła drzwi od salonu mówiąc:

— Pan Thompson, panienko.

Wstałam. Wszedł jak zwykle z parasolem w ręku. Carlo wybiegł na przeciwko poruszając radośnie ogonem. Nie mogłam słowa powiedzieć, byłam ogromnie wzruszona. Myślałam, że pan Thompson chciał mię uwiadomić o swojem małżeństwie z Jessie i prosić abym zamieszkała z niemi; albo może moja kuzynka powiedziała mu, że wyjechałam, a dowiedziawszy się o prawdzie, uczuł pewnie wstyd za swoją obojętność i przyszedł wytłumaczyć się przedemną. Jednakże wcale się nie usprawiedliwał; zapytując mnie o zdrowie, usiadł na krześle, spojrzał na mnie badawczo i nie czekając na odpowiedź, wyraził obawę czy nie jestem chorą?

— Nie — odrzekłam udając obojętność — nie jestem wcale słaba. Spodziewam się, że i pan masz się dobrze panie Thompson.

Odpowiedział potwierdzająco i zaczął patrzeć w ogień. Jakiś czas panowało milczenie. Ja odezwałam się pierwsza, a uwaga moja wcale nie była grzeczna.

— Słyszałam, że jesteś pan bardzo zajęty, i nie spodziewałam się pana zobaczyć.

Natychmiast pożałowałam tych słów. Mógł pomyśleć, że byłam urażoną jego długą nieobecnością, a z pewnością tak nie było; on dobrze przyjął moją wymówkę, rzeczywiście był bardzo zajęty, ale teraz już pokończyłem wszystkie sprawy Mrs Norris — dodał — wyjechała dziś rano.

Serce jeszcze mocniej mi bić zaczęło, ale milczałam.

— Odjechała wcale niezadowolona — mówił dalej. — Myślała, że więcej dostanie niż sto funtów szterlingów rocznego dochodu, bo to wszystko co jej zostawił pan Norris, wraz z kilku cennemi klejnotami. Małżeństwo jej będzie teraz dość nędzną spekulacją... a spekulacje podobne nie mogą się często powtarzać. Młodość i piękność są kapitałem, który się prędko wyczerpuje. W każdym razie gdyby zrobiła drugą taką spekulację jak pierwszą, to pani rozumie, że nie ja będę jej żałował.

Rozumiałam doskonale; ale ten ironiczny sposób mówienia sprawiał mi przyjemność.

— Zdaje mi się — dodał po chwili — że miła wdowa była pewną, że nasze rachunki spadkowe inaczej się skończą. Mówiono nawet w sąsiedztwie, że byłem zdecydowany zapełnić deficyt. Czy ta plotka tutaj nawet doszła?

Nie mogłam zaprzeczać: przytem oblałam się żywym rumieńcem. Już sama nie wiem co odpowiedziałam na to.

— Ah! nie spodziewałem się tego — odrzekł widocznie nie kontent. — Ludzie są zanadto dobrzy. Czy i pani uwierzyła? Myślałem, że mnie pani zna lepiej.

W oczach jego czytałam niezadowolenie, lecz nie starałam się usprawiedliwiać. W końcu zapytał mnie, czy może mówić o interesie, który go tu sprowadził.

Więc to znów jakiś interes? Zawstydziłam się mego szaleństwa, z którego się nieuleczyłam dotąd i prosiłam, aby się jaśniej wytłómaczył.

Pan Thompson mówił o ciotce, o jej przywiązaniu dla mnie, o mojej samotności i po dłuższem krążeniu około przedmiotu, który stanowił cel jego wizyty, wyraził chęć zajęcia się moim losem.

— Lecz — dodał z pewnem wahaniem — aby przeszkodzić wszelkim złym językom, schronienie jakie niegdyś ofiarowałem, ofiaruję i teraz, ale nie mogę inaczej jak wraz z nazwiskiem pani Thompson.

Mam być poślubioną z litości! taką mi się wydała w tej chwili propozycja pana Thompson.

— Panie Thompson — zawołałam z wyrzutem — ja nie zasłużyłam na to! Pójdź tu Carlo.

Dobry Carlo położył głowę na kolanach i patrzył na mnie uważnie, jakby chciał coś wyczytać w moich oczach.

— Było to biedne opuszczone psisko — rzekłam pokazując go panu Thompson; — umierał z głodu, przyszedł pod drzwi domu. Zlitowałam się nad nim, dałam mu schronienie; nie opuścił mnie więcej i przywiązał się do mnie. Ale ja panie Thompson, nie upadłam tak nisko, aby mnie można położyć na równi z tem zwierzęciem. Mogę jeszcze sobie dać radę na świecie.

Pan Thomson cofnął się, oparł o poręcz krzesła i słuchał w jaki sposób objaśniałam jego propozycję.

— W istocie — powiedział — rozumiem to dobrze, że jestem pani obojętny, ale nie myślałem nigdy, żeby pani w ten sposób zrozumiała mój zamiar.

— A jakżesz mam go sobie tłómaczyć?— zawołałam. — Ofiarujesz mi pan litość a ja pogardzam litością. Ah! panie Thompson, gdybym

nie była biedną dziewczyną, czybyś pan mówił do mnie w ten sposób? Czyż ja nie wiem jak są poszukiwane bogate panny? Gdybyś pan miał do mnie choć trochę przywiązania, nie odzywałbyś się w ten sposób.

— Augusto, myślałem, że mnie znasz lepiej. W moim wieku z charakterem otwartym, powinno się iść prostą drogą do celu. Odbyłem pierwszą szkołę z Jessie, starając się pierwej o jej serce, niż o rękę. Nie chcę tego więcej doświadczać. Powiedz mi otwarcie Augusto, czy zgadzasz się iść za mnie; tak czy nie?

Nie wiem co się w tej chwili działo ze mną. Odpowiedziałam *nie*. Oh! jakżem chciała cofnąć to *nie;* ale już stało się, a pan Thompson wstał niezadowolony, ukłonił mi się poważnie i odszedł.

Drzwi zamknęły się za nim, usłyszałam zgrzyt żelaznej bramy.

— Stało się, nie wróci więcej — powiedziałam sobie. — Jest również dumny jak ja i zaczęłam szlochać pochyliwszy twarz do sofy.

Nagle zimny pysk biednego Carla wsunął się pod rękę. Za chwilę podniosłam głowę, pan Thompson stał przedemną; blady był i wzruszony.

— Zapomniałem parasol — rzekł z miną zakłopotaną.

Była to prawda. Pierwszy raz w życiu zostawił ten obrzydliwy parasol, jemu to tylko myślałam, winna jestem, że powrócił.

Parasol stał w kącie, lecz zamiast iść po niego, pan Thompson usiadł przy mnie na sofie. Wziął mnie za rękę i... pocałował.

— Pani płakałaś — powiedział — żałowałaś tego *nie*, które kazało mi odejść smutnym i nieszczęśliwym?

— Tak smutnym i nieszczęśliwym, aż zapomniałeś pan parasol — odpowiedziałam — i dla którego teraz pan powróciłeś...

— Być może — rzekł z właściwym sobie uśmiechem; — ale wróciłem zawsze. Dlaczegoż się nie mam przyznać, że za trzymałem się pod oknem? Widziałem jak płakałaś i jak Carlo patrzył na ciebie z litością do jakiej pies jest zdolny... Tak wróciłem, aby wziąć parasol... ale Augusto przysięgam ci, że go zapomniałem umyślnie.

Może nie była to zupełna prawda, ale patrząc mu w oczy nie myślałam o tem i teraz nawet chociaż już dwadzieścia lat upłynęło od naszego ślubu, nie posądzam go bynajmniej o kłamstwo.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(*Dokończenie*).

XXXIII.

Dogorywało powstanie w 1864, a komitet rozwijał swą czynność w miarę wzrastania liczby wychodźców tułaczy. Więc 15. kwietnia wydaje nową odezwę do przyjaciół ludzkości i sprawiedliwości*) i ogłasza, że wykładów w sali *Barthélemy* o sprawie polskiej, które przynosiły dochód znaczny, władza wzbroniła i to wtedy, gdy „kobiety z ludu skazywano na bastonadę, znakomite niewiasty pociągano przed trybunały kryminalne za organizowanie pomocy dla rannych i chorych.“

Malując czarnemi farbami stan Galicji, wykazuje komitet potrzebę przychodzenia z pomocą tym, których wydaje Austrja w ręce zaboru, jeżeli nie mają paszportów.

A gdy zawiązany w Anglji komitet kobiet angielskich dla pomagania rannym i chorym Polakom pod przewodnictwem *Emmy Roberts*, księżnej *Schaftesbury*, i *Schwabe* otrzymał adres od kobiet krakowskich, komitet franko-polski natychmiast go ogłasza. Zaś w czerwcu *) zawiązuje biuro stręczeń Polaków pod imieniem *Comité de patronage et de placement* (komitet opieki i umieszczania). W nim Chodźko ważną odgrywał rolę, bo Polacy zgłaszający się nie umieli po francusku. Nadto wszelkie zapomogi rozdzielane były przez jego ręce. Ale niech ci, co mieli styczność wtedy, powiedzą o jego zajęciach. — Ja stwierdzam tylko, że przyczynę powstania tego komitetu, założyciele tak podają: „Wielka liczba Polaków przybyła lub przybywa codziennie do nas ze wszystkich części Polski. Przybywają oni pozbawieni wszystkiego, wyniszczeni, a wielu okaleczonych na polu bitwy. Tknięte tem wielkiem nieszczęściem osoby pod różnemi kształtami próbowały uorganizować środki przyjścia z pomocą i zaofiarowania wsparcia i kierownictwa w pierwszych i tyle ciężkich chwilach wygnania.“

Jednak oprócz powyższego komitetu wyłoniono drugi jeszcze w tym samym celu: Komitet Kobiet polskich i francuskich (*Comité des dames polonaises et françaises.*)

Komitet opieki i umieszczeń złożony z markiza de *Noilles* i sekretarzy Horacego *Delaroche*, *Thureau*, *Daugin* i de *Lubitz* vel *Januszkiewicz* 20. czerwca 1864 zawiadamia, że „przeszło 2.000 Polaków, wczoraj żołnierzy dziś wygnańców, przyszło szukać przytułku na glebie francuskiej... Przed wzięciem za oręż jedni pełnili w Polsce lub nawet we Francji różne obowiązki: inżynierów, geometrów, mechaników, lekarzy lub faktorów i wyrobników; inni są właścicielami pozbawionymi swych dóbr lub młodzi ludzie oderwani od nauki. Wszyscy chcą tylko przez pracę zarabiać na kawałek chleba im brakującego; jakieby nie zaofiarowano zajęcie zawsze wśród nich znajdzie się ktokolwiek, co je zajmie. Lecz cudzoziemcy bez pomocy, bez środków, bez protekcji w czyjeż drzwi zastukają? „Francja zawsze szlachetna, nie zapomni przy tem zdarzeniu o obowiązku gościnności.“

29. listopada 1864 Komitet franko-polski ponownie zabiera głos, a z niego dowiadujemy się, że komitet udzielił pomocy 20.050 fr. szkole batiniolskiej, Montparnaskiej i zakładowi św. Kazimierza; 38.905 na pomoce rannym, chorym, wdowom, dzieciom i tułaczom przybywającym z prowincji, oprócz tego 13.000 fr. i 20000 biletów na objady 65 centimowe, za pośrednictwem różnych Polaków. — Nadto dla przeszło 400 Polaków dostarczył zajęcie, a raczej dał listy rekomendacyjne. — Zajęcia otrzymane na razie przez naszych rodaków były może nieodpowiedne ich usposobieniu i zdolnościom, ale musieli brać co się nadarzyło. **) Dom przytułku założony przez komitet był przepełniony powstańcami. A chociaż rząd francuski przeznaczył i rozdał w ciągu 1864 r. 150.000 fr. emigracji, *) to zawsze ta suma niedostateczną była dla 5.500 wychodźców w Paryżu; wzywa więc komitet do pomagania nadal, bo „srogość zimy powiększa jeszcze potrzeby ich i cierpienia. A Francja nie zechce, ażeby ofiary co uszły szafotu lub wywiezienia znalazły u nas chłód i głód!“

Ogłosiwszy sprawozdanie z użycia pieniędzy musiał nie przestawać i nadal się opiekować wychodźtwem. Markiz de *Noilles* w lutym 1865 złożył sprawozdanie o położeniu wychodźtwa *rapport sur la situation des réfugiés polonais.*) Z tego raportu widać, że najwięcej zebrano za wykłady w sali Barthélemy bo 25.000 fr. i w mieście i okolicach *Saint Quantiés* (18,000). Jednakże pod pozorem, że rząd zajmuje się wychodźtwem, zabroniono miewać wykłady — cofnięto pozwolenie wydane. — W 1832 roku, gdy przybywało wychodźtwo, osobnem prawem uchwalono w izbach pozwolenie zaciągnienia 3 miljonowej pożyczki, na pomoc wychodźcom uciekającym do Francji z powodu wypadków politycznych. — We 33 lata później na 2.800 osób pobierających zapomogi francuskie rządowe i należących do młodej emigracji rząd dawał 150.000 „bo rząd cesarza chce dać wychodźcom polskim dowód swego współczucia“, jak mówił minister oświaty, odmawiając pozwolenia konferencji, chociaż dawano wtedy żołnierzom 15 fr. miesięcznie, oficerom do majora 25, rannym, uczniom i niektórym uprzywilejowanym 35. — Mało zaś kto brał po 50 fr. Przeżyć za to było niepodobieństwem. — Nie mając z czego żyć, musiano brać się do pracy na kawałek chleba. To też po umieszczeniu 430 osób miał tenże komitet 320 kandydatów do pracy. A w liczbie tych byli: 2 jenerałowie, 9 pułkowników, 14 podpułkowników, 19 rotmistrzów, 27 kapitanów, 45 poruczników i podporuczników, 5 profesorów szkół, 12 lekarzy, 16 uczni wszechnicy, 57 urzędników, 1 sekretarz stanu, 33 właścicieli, a byli jeszcze rysownicy, inżynierowie i t. p. nie wyjmując policjantów. — Raport *Noailles'a* przyjęty był przez komitet i uznany za słuszny w wywodach. I tegoż samego dnia podpisano nową odezwę **) — zaświadczającą wypadek prawdziwy że jeden emigrant z głodu padł na ulicy, a na drugi dzień w szpitalu zmarł. „Wychodźtwo polskie we Francji cierpi zarazem wszelkie bole moralne i wszelkie dolegliwości fizyczne niedostatku. Moglibyśmy podnieść zdarzenia okropne, lecz musimy przejść je milczeniem i bohaterstwo nieszczęścia bowiem ma swą wstydliwość. Powiemy tylko, że są wychodźcy polscy, którzy żyją tylko kawałkiem chleba i jedzą raz tylko na dzień.“

Po takim obrazie dodaje odezwa: odczyty literackie, teatralne przedstawienia, loterje są nam wzbronione. Lecz czy powinniśmy przez to zniechęcać się i odpowiadać zaraz sławnym nieszczęśliwym: *Nie możemy dla was nic więcej, pozostaje wam rozprószyć się!*“ Zaczęto więc zbierać składki we Francji przez duchowieństwo, a zarazem ogłoszono drukiem *Chavauon* adwokata: *Narody północne i nauka Chrystusa, odezwa na korzyść ofiar Polskich.****) Wtedy to również powzięto zamiar urządzenia sprzedaży obrazów różnych na korzyść

---

*) Aux amis de la Justice et de l'humanité.

*)Paris 25. Jouin1864, podpisani członkowie. Pieczęć 4 herbowa, Polski, Litwy. Prus i Rusi.

**) Nouvel Appel. 29. Novembre 1864. Paris.

*) Rapport de M. *du Miral* relatif anx suppelement des credits de l'année 1S64 str. 8 Nr. 315

**) 21 — 28. kwietnia 1852. *Collection complete des lois*. T. 32. str. 235.

***) Paris. 11. Fevrier 1865.

****) Les nations du nord et la doctrines du Christe, appel en faveur des victimes polonaises. 1865 (Dentu).

Polaków. Zatem 1. czerwca 1865 pisze komitet odezwę: „Walka skończyła się w Polsce; lecz więcej jeszcze płynie łez, więcej ran pozostaje niezagojonych i między pozostałymi przy życiu z tylu bohaterskich bitew, większość rzeczywiście jest skazaną na chleb wygnania. Niechże przynajmniej nie zabraknie im i tego chleba! Niestety, źródła się wyczerpały. .....Do serc artystów odwołujemy się dzisiaj. Niech każdy z nich zaofiaruje dzieło, jakiejkolwiek doniosłości lub rodzaju obraz, szkic, akwarela, rysunek albo *croquis*, rzeźba lub grawiura, nakoniec przedmiot sztuki, któryby mógł zająć miejsce w sprzedaży wyłącznie złożonej z przedmiotów sztuki jaką komitet zamierza urządzić z końcem przyszłej jesieni". Sprzedaż miała poprzedzić wystawa. Wystawa i sprzedaż zamierzona odbyły się jednakże 21. marca 1866. Odezwa komitetu do artystów nie pozostała bezowocną. 155 przedmiotów od tyluż prawie artystów nadesłano komitetowi*) a między imionami artystów znajdują się: Rosy *Bonheur*, *Ingres* itp., a z Polaków ofiarowali na sprzedaż: *Andriolli* Smierć Narburta 1863, ks. E. *Boratyński* jednego z pierwszych akwarelistów w Paryżu aż trzy akwarele: dwa pejzaże i widok miasta. *Rodakowskiego* H. był obraz olejny, *Zelińskiego* polski woźnica i Langiewicz przechodzący Wisłę. Zofji z Szymanowskich *Lenartowiczowej* Batory, rysunek *Tomaszewskiego* modlitwa Brunehaut; nareszcie *Sowiński* zaofiarował 5 utworów muzycanych a Tysiewicz ilustracje dzieł Mickiewicza. Z tej sprzedaży wpłynęła pewna suma pieniędzy użytych jak dawniej na zapomogi. Ostatnią odezwę o wsparcie tułaczy napisał komitet franko-Polski 31. grudnia 1866, składając rachunek z wydatków. „W 1866 mogliśmy, powiada on, obok zapisów zbiorowych lub bezimiennych, zarządzić sprzedaż przedmiotów sztuki ofiarowanych przez znakomitych artystów. Dochód ze sprzedaży, łącznie z zapisami pozwolił nam opłacać pomieszkanie, w którem pewna liczba wygnańców znajduje skromny przytułek, rozdzielać zapomogi osobiste uczniom, chorym, dzieciom i pomagać tym, którzy w pracy znajdują niedostateczny zarobek... Cierpienia Polaków zawsze są bardzo wielkie, wygnani z własnego kraju i pozbawieni wszelkich stosunków ze swemi rodzinami, wypędzeni z Niemiec, mają oni prawo do współczucia tych wszystkich, którzy się zajmują szlachetną sprawą."**) Jednakże składki wpływały coraz mniejsze. Zapomogi udzielane coraz bardziej były ograniczane i skończyło się, że komitet franco-polski utrzymuje dom, w którym mieszka kilkunastu Polaków w godzinach wolnych od wykładu dla dorosłych Francuzów (które kilka godzin codziennie prawie trwają). Pomoce udzielane Polakom przez komitet w 1865 roku doszły 60,000 franków i dano rekomendacje lub wyszukano zajęcie dla 700 osób Polaków. Już to samo wykazuje pewnego rodzaju użyteczność instytucji. Jednakże dla pełni obrazu czynności jej po ostatniem powstaniu pozostaje jeszcze dodać słów parę o stosunkach jego z Anglją.

W 1864 roku, gdy jeszcze trwało nie doduszone powstanie, w Anglji istniała liga narodowa angielska w celu niepodległości Polski (*of the Britisch national League for the independence of Poland*). Prezesem jej był Edmund *Beales* (Bilz) a pisarzem *Taylor*, znani założyciele ligi wolności i pokoju itd. oprócz nich do komitetu wchodzili: *Ilchester*, *Campbell*, *Bart*, *Brinsley Sheridon*, *Beesly*, *Graut Facey*, *Dell*, *Townshed*.

W styczniu (27.) pisali oni adres do komitetu franko-pol.: „Cieszymy się, że we Francji jak i w Anglji są ludzie, nie zdolni pozostawać biernymi widzami, gdy Polska stanowczo wyzwala się i krwią własną zaciera podpisy Francji i Wielkiej Brytanji przyłożone na traktatach, zapewniających jej istnienie narodowe i polityczne. Czyż trzeba więc, by pamięć nieszczęść Polski uświęciła wstyd Francji i niesławę Anglji? Lecz to nie będzie przynajmniej z naszą zgodą i jesteśmy szczęśliwi dorzucając, że również nie będzie i z waszą. Chcemy połączyć nasz głos z waszym dla domagania się u naszych właściwych rządów, przyznać naszym braciom Polakom prawa *strony wojującej*, jako prowadzących wojnę z władzą, którą przez pogwałcenie wszelkich traktatów i przez pół wieku tyranji straciła pozory prawa do rządzenia nimi." A wyliczając następstwa i okropności tyranji dopełnianej bez tego uznania, że najazd „który gwałci uczucia najświętsze, który zaprowadza na eszafoty ludzi, których jedyną zbrodnią jest walczenie za swój kraj, który skazuje niegodnie na chłosty lub więzienia i wieczne wygnanie córki Polski, których jedyną zbrodnią miłość swej ojczyzny i opłakiwanie swego losu." Dodaje odezwa że: „takie są wyniki krwawej, lecz bezpłodnej wojny 1854 nagle zakończonej nie mającej słusznych następstw i wyzwolenia i odbudowania Polski. Czas już, zaprawdę, jeżeli nie chcą by piętno hańby niezmazanej i wiecznej nie spadło na chorągwie i historję Wielkiej Brytanji i Francji za brak uroczystych zobowiązań, za głuchość na głos sprawiedliwości, ludzkości i godności narodowej. Zaprawdę, czas jest, by ustały wahania się dyplomacji i przynajmniej zupełnie, jasno i prawnie przyznano prawa strony wojującej patrjotom polskim, którzy walczą od tak dawna za niepodległość swego kraju, o prawa im niezaprzeczalne, za wszystko co robi drogiem życie lub chwalebną śmierć." itd. Na ten jędrny adres Anglików, na który nasze władze nie odpowiadały nic, odpowiada komitet fr.-pol. dziękując za ń: „Prawa Polski przyznano przez rząd francuski w dniu kiedy objawiano, że ugody, przez które Europa zgodziła na połączenie Polski z Moskwą są rozerwane i rzucone pod stopy. Rząd brytański wyraził się w tym samym przedmiocie z taką samą jasnością jeżeli nie z taką uroczystością." Tak rozumował i nasz rząd upatrując zawsze jakiegoś przyznania i obietnicy, gdzie ich nie było. Jednakże komitet w porę dodaje: „Głęboko żałujemy, że tak przyznawszy prawo dotąd nie udzielono Polakom w czynie, po roku i więcej wzniosłych usiłowań za najświętszą sprawę, tego co tak łatwo i prędko otrzymali południowcy, gdy rozerwali jedność amerykańską.

„Liczne odgłosy we Francji odpowiedziały na waszą wymowną protestację, ogłaszającą obowiązki i podnoszącą godność dwóch narodów tak pogardliwie sponiewieranych przez Moskwę...... Gdy niepowodzenie dyplomatyczne dowiodło, że wszelkie negocjacje z Moskwą są urojeniem i że rozum i sprawiedliwość niczem nie są dla nieznających nic innego nad siłę, mamy nadzieję zobaczyć dwa nasze narody złączone w celu *niepodległości Polski* umową, którego wielkość przedmiotu może zrobić nierozerwalnym." I kończy ta odpowiedź słowami: „Pracujmy więc nad przygotowaniem świętego przymierza ludów w celu podjęcia narodu męczeńskiego, który musi się stać tem, czem był przez tak długi czas: ochroną zachodu przeciwko azjatyckiemu barbarzyństwu, wprowadzonemu przemocą i zdradą do serca Europy."

Jeszcze w czerwcu 1865 liga narodowa angielska pisała raz do komitetu fr.-pol. wynurzając swą boleść z powodu śmierci księcia *d'Harcourt*, prezesa komitetu: „Jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi w tych smutnych okolicznościach, niechże nam będzie wolno przyłączyć się do smutku hołdu otaczającego człowieka tak słusznie poważanego. On pierwej z Bogiem, zanim mógł oglądać nadzieje swe ziszczone i naprawioną wielką zbrodnię przeszłego wieku i obecnego, a Polskę zabierającą stanowisko słusznie jej należące wśród narodów; wieczna sprawiedliwość jeszcze nie pozwoliła zwyciężyć prawu, lecz imię ks. d'Harcourt powinno żyć w sercu każdego Polaka, jako imię człowieka co zawsze pierwszym był na wyłomie w godziny przeciwności, zawsze oddany pożytecznie i energicznie dla sprawy w czasach przesilenia i zwątpienia i który zasługuje na wspomnienie zaszczytne, gdy wolność dokona swego dzieła." Podobnym był i Dutrône. Na tych wspomnieniach zakończam opis działalności komitetu frankopolskiego po powstaniu 1863—4.

Działalność ta jeżeli nie uwieńczyła się olbrzymiemi składkami, które nie były nawet konieczne, to znowu moralną potęgą wpływała na opinję Francji i nawet Anglji. Mając za sobą najpotężniejsze czynniki tej opinji, najbardziej rozpowszechnione organa prasy, musiały komiteta przyczyniać się nie mało do rozjaśnienia sprawy polskiej i pojęcia jej nak życie. A w komitecie frankopolskim odegrywał, jak to tylekroć wspominałem, ważną rolę w pisaniu odezw, rozdawaniu zapomóg i zbieraniu różnych potrzebnych dat Chodźko. Jego czynność jako żyjącego człowieka, jako tak niedawną i pamiętną wielkiej liczbie wychodźców pomijam, by nie być pochlebcą lub też za ostrym krytykiem.

ZAKONCZENIE.

Tak więc przedstawiłem ważniejsze rysy życia autora tylu pism o Polsce. Może nie jeden z czytelników nie zadowolni się temi obrazkami jakie nakreśliłem. Ale pisać żywoty osób żywych, jak u nas je piszą, napełniać pochlebstwami i zachwycaniem się każdym czynem, każdem stąpieniem że tak nazwę, nie jest w mojej naturze. Nie umiem stwarzać genjuszów i widzieć wszędzie genjalność, nawet gdzie jej nie ma. Ale wierzę, że każda jednostka, każdy człowiek przy pracy zbiorowej może wiele dokonać, może wywrzeć wpływ na okalającą sferę i rozszerzyć zakres ogólnej wiedzy. Dlatego to z życia jednego z naszych pisarzy wybrałem różne epoki, gdy występował energiczniej w życiu publicznem i chciałem namalować te epoki, jakiemi one były w rzeczywistości. Życie towarzystw całych zazwyczaj, jeżeli zależy od pojęć i czynności jednostek, to znowu tak się zrasta z jednostkami pojedynczemi, że staje się niepodobnem odróżnić każdą pojedynczą myśl, tak jedne osoby, jedne pojęcia zamieniają inne. A nieraz inicjatywa poczęta w myśli niejasnej czyjejś, rozwijana przez innych doprowadza zbiorowe ciała do olbrzymich następstw i wyników. Zatem nałamywanie wszystkiego do pomysłów jednego człowieka, dowodzenie, że wszystko co się działo koło niego lub z jego wiedzą, pły-

*) Catalogue de tableaux, aquarelles, desins modernes 1866.

**) Comité franco-polonais. Paris, 31.decembre 1866.

nęło od niego tylko i do niego należało, że pojedynczy człowiek, chocby genjusz, nawet mógł być ogniskiem, koło którego wszystko się kręciło, a on sam tylko stał nieporuszenie i jak Bóg poruszał wszystko wedle swej myśli, jest niesłusznem i nawet zbrodniczem.

Człowiek oddziaływa na społeczność, lecz znowu i ta ostatnia z kolei porusza nim i oddziaływa na niego. Jeżeli więc w niniejszym życiorysie choć w części to prawo odwieczne wzajemnego oddziaływania jednostek pojedynczych na zbiorowe a zbiorowych na pojedyncze, wykazałem; jeżeli uwydatniłem że wielkość lub pożyteczność pracy dla narodu zależy na wspólnej pracy i porozumiewaniu się, ścieraniu różnorodnem, i że w utarczkach tych nie żarłoczne dogryzanie się wzajemne, ale życie i postęp prawdziwy leży; wtedy osiągnąłem cel mój, wtedy praca moja nie jest daremna.

Wziąłem pierwsze lata wychodźtwa 1831 pod szczególną uwagę, bo były to lata najbardziej tchnące życiem i porodziły te zasady, które później tak oddziaływały na kraj, ale działalność ta wysunęła na wierzch innych ludzi i cech tych czasów trzeba szukać w innych typach.

Naostatek muszę dorzucić słowo. Pisałem wszystko na mocy różnych drukowanych lub pisanych autentycznych dokumentów. Jeżelim gdzie mimowolnie zbłądził, wszystkich bez wyjątku proszę o sprostowanie, obowiązując się względnie, że, jeżeli będą dowiedzione, jeżeli mi wykażą dowodnie mój błąd, to sam, nie kierowany wstydem fałszywym, pierwszy się przyznam do winy i do błędu.

Przystąpienie Polaków będących w Paryżu, do rewolucji listopadowej i doniesienie Sejmowi o wyborze trzech członków tymczasowo działających w Paryżu. Na mocy zaś uchwały sejmowej, adres następujący ogłoszony był we wszystkich gazetach polskich.

Paryż 17. grudnia 1830.

DO SEJMU POLSKIEGO!

„Na pierwszy odgłos powstania narodowego, zebrani w Paryżu rodacy, poczytali sobie za największy obowiązek, złożyć, bez odwłoki, hołd posłuszeństwa i niezachwianej wierności, poważnemu Sejmowi polskiemu.

„Zgromadzonym w liczbie około pięćdziesiąt osób, podobało się upoważnić podpisanych, do dopełnienia, w imieniu wszystkich, tej drogiej Polakom powinności.

„Pospieszamy więc, poważni ojcowie i bracia nasi, pospieszamy z wynurzeniem Wam uczuć rodaków oddalonych od ziemi ojczystej. Wszystkich jeden przejmuje zapał, serca wszystkich głośniej biją, niż dźwięk słabej wymowy naszej. Zazdrośni w chwale ziomkom, co orężem oddali pierwszą ojczyźnie posługę, biegną wszyscy bez odetchnienia pod sztandary narodowe.

„Z wyboru ogólnego spadła na podpisanych powinność, zostania w Paryżu do dalszych zwierzchności narodowej rozkazów, których z upragnieniem i niecierpliwie oczekując, wyznajemy się wiernymi ojczyzny synami.“

Paweł Jerzmanowski, pułkownik.
Teodor Morawski.
Leonard Chodźko.

List (w tłómaczeniu) Leonarda Chodźki do Jła Lafayetta z okazji dymissji danej z dowództwa Gwardji narodowej francuskiej.

Paryż 20. grudnia 1830.

Jenerale!

Gdy lud francuski w owym wielkim dniu dla Francji zwrócił swe oczy na ciebie i powierzył Ci chwałę i wolność swoją, gdy król — obywatel złożył w twe ręce dowództwo naczelne całej Gwardji obywatelskiej pierwszego w świecie narodu, gdy nakoniec ludy dwóch światów powitały twój powrót na scenę polityki i wzniosły okrzyki: „Niech żyje Lafayette!“ Czyliż nie uznał się szczęśliwszym ten, który był powiernikiem twych uczuć i czyliż nie miał się okazać dumnym z tego, iż się zbliżył do Ciebie.

Co do mnie, sądziłem się być bardzo szczęśliwym, żem był czynnym w trzech dniach rewolucji i żem od lat czterech prawie na szlachetne zaufanie zasłużył, nakoniec żem się ujrzał przyjęty jako officer Gwardji narodowej przy tobie do bezpośrednich twoich rozkazów.

Sam jeden z pomiędzy cudzoziemców, przyjęty do tego świetnego, równie jak licznego korpusu, wszedłem w jego szeregi jako Polak i z tem świętem imieniem w oczach Francuzów, osądziłem zarazem, że jestem tłómaczem uczuć moich współziomków. I w rzeczy samej, czyliż nie pod hasłem „niech żyje Lafayette“ i pod godłem trójkolorowego sztandaru nowa era wolności rozpoczęła się na brzegach Wisły.

Dziś, gdy przyjaciel i towarzysz broni Kościuszki składa dowództwo, zechciej Jenerale zezwolić, abym tu był organem Narodu Polskiego w wynurzeniu żalu z twego oddalenia się. Lecz pozostaje ci jeszcze mownica, wszyscy moi współziomkowie mają zupełne zaufanie w tym potężnym głosie i w chwili gdy Polska, z przyczyny najświętszej i najszlachetniejszej rewolucji, ściąga na siebie wzrok wolności i cywilizacji całej Europy, twego wsparcia Jenerale może być pewną.

Pod twojem przewodnictwem zawsze chlubić się będę, że służę Francji i jej królowi—obywatelowi, gdyż sprawa Polski ze sprawą Francji jest połączona.., Jenerale, bądź zapewniony w każdej okoliczności o zupełnem poświęceniu się najszczerszego twego wielbiciela.“

Leonard Chodźko.

NA „DZIADY“.

Wiersz ku pamięci obchodu 24. rocznicy skonu śp.

ADAMA MICKIEWICZA.

Był mistrz potężny po nad wszystkie mistrze,
Był mistrz, co duchem wzbił się nad poziomy,
Co w zacnej piersi serce miał najczystsze
A w sercu blaski słoneczne — i gromy..,
Był mistrz, którego anielska pieśń gwarzy,
Stojąc na uczuć narodowych straży.

Myślą, uczuciem ku ojczyzny chwale,
Sercem, miłością stawał w jej obronie,
Aż ją uwielbił, ozdobił wspaniale,
Aż ją posadził na wielkości tronie,
Aż świętym blaskiem rozjaśnił jej czoło...
Więc się narody zdziwiły w około.

I zadziwione, w zdumieniu głębokiem
Pytały wtedy, co to za królowa —
Z tak krwawą piersią, z tak płomiennem okiem?
Pytały, czy to męczennica nowa?
I jakie siły i jakie ją cudy
Wygórowały ponad wszystkie ludy?

Pytały głucho: „Aza to nie czary?
Beśmy okuli ją i katowali,
A oto nowe dla niej wciąż ofiary,
A oto berło jej sięga wciąż dalej!
Męże, niewiasty i młodzi i starzy
Tłumnie się cisną znów do jej ołtarzy.“

„Ślepi — mistrz rzecze — „ślepi z wiarą małą
Bez serc, bez ducha, szkieletów plemiona!
Wy przywaleni pod przesądów skałą
Próżno do góry wznosicie ramiona.
Jak płaz w skorupie, tak wy *samoluby*
Sami szukacie w nawałnościach zguby!

„Wy się pytacie zkąd to co raz więcej
Przybywa blasków jej nieszczęsnej sławy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy...
Słyszycie? Wicher pędzi chmury śniegów:
Tam giną resztki wolności *szeregów?*

„Ciemięzców dziką poorana nogą —
Krwią, łzami zlana ziemia wyda kwiaty —
A kraj, któremu los grzmiał tak złowrogo,
W weselne kiedyś się ozdobi szaty —
I jako feniks w lepszych dni zaranie
Z grobowca kości i popiołów wstanie.

„Sokół gdy w klatce srogi pan go strzeże,
Tęskni i płacze do wolności złotej,
A niech mu tylko znów odrośnie pierze,
Niechaj poczuje silnymi swe loty —
To zrywa więzy, co go krępowały,
I wolny wraca w ojczyste swe skały.

„*Kto dzieckiem* jeszcze *głowę zerwał hydrze,*
Kto w latach młodych *zadusił centaury,*
Ten z paszczy piekieł więcej ofiar wydrze,
Ten *do niebiosów sięgnie po swe laury.*
Nie znając trwogi, popłochu, ni klęski
Iść będzie wiarą niezłomną zwycięzki!“

Tak mistrz im prawił!... O mistrzu nasz wielki,
Narodowego kapłanie kościoła,
Co do ostatniej swojej krwi kropelki
Dążyłeś zawsze gdzie powinność woła...
Naród dziś cały pamięć twoją święci —
O cześć ci, mistrzu — cześć twojej pamięci.

Cześć Ci!... Otuchę zeszlij w tej godzinie...
Chwiejnymi kroki idziem życia drogą,
Słowo proroków jak z wiatrem pył ginie,
A słabe usta wskrzesić go nie mogą...
O spłyń ty duchu w głębię naszej duszy;
Boleść ją gnębi, rozpacz ją nam kruszy!

Po dyamentowym spójrz promyku zorzy,
Bo któż nam losów pieśń niedośpiewaną,
Którą na gwiazdach rozwiesił sąd boży,
Dośpiewać zdoła? Wyjdź, jak słońce rano,
Co nowem życiem napełnia świat cały,
Co kwiaty cieszy, by płakać przestały.

Jako w litewskiej wsi, w północnej dobie
Na cmentarz idą posępne gromady,
Tak my się zeszli dumać przy twym grobie,
Tak my się zeszli obchodzić twe „dziady“,
I brakującej nam do życia siły
Z twojej, o mistrzu, zaczerpnąć mogiły.

St. Ros...ski.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Czerwona róża i czarne oczy.

Po tej pierwszej wizycie do dawnego domu Lalouette, nie byłem *tam* dosyć długo. Jakób wiernie odprawiał niedzielne swoje pielgrzymki i za każdą razą wynajdywał jakiś nowy, bardzo powabny sposób wiązania krawatki... Krawatka ta Jakóba, to był cały poemat, poemat miłości gorącej a hamowanej, coś nakształt równianki wschodniej, jeden z tych emblematycznych bukietów, które basza-agowie ofiarują ulubieńcom swoim, i za pomocą których wyrażają wszystkie odcienia miłości swojej.

Gdybym był kobietą, krawatka Jakóba i te tysiączne jej węzły, które wciąż odmieniał, wzruszyłyby mię więcej jak słowne najwymowniejsze oświadczenie się. Ale wiecie, co wam powiem? Kobiety nie rozumieją się na tem wcale... Co niedzielę Jakób wychodząc, pytał mię zawsze: „Idę *tam*, Danielu... a ty pójdziesz?“ Ja mu na to niezmiennie odpowiadałem: — Nie, dziękuję, Jakóbie; pracuję... — Wtenczas on wychodził szybko, a ja zostawałem sam, zupełnie sam, pochylony nad moim warstatem do rymów.

Z mojej strony było to postanowienie bardzo szczere, nie iść więcej do Pierrotte'ów. Powiedziałem sobie: „Jeżeli raz jeszcze zobaczysz czarne oczy, jesteś zgubiony,“ i mocno trzymałem się tej myśli, by ich nie widzieć więcej... Ale nie wychodziły mi z myśli te szatańskie oczy czarne. Widziałem je wszędzie. Myślałem o nich zawsze, pracując, śpiąc. Na wszystkich zeszytach znalazłbyś wielkie oczy piórem narysowane, z długiemi, ot tak, rzęsami. Była to istna napaść.

Ah! a kiedy Jakób z okiem błyszczącem radością, tańcząc wybiegał do pasażu Saauon, z nowym węzłem u krawatki, Bóg tylko jeden wie, jaką szaloną chęć miałem biedz za nim, wołając: „Zaczekaj na mnie!“ Ale nie! Coś mię przestrzegało, że postąpiłbym źle, gdybym poszedł *tam*, i bądź co bądź miałem odwagę oprzeć się pokusie i pozostać przy moim warstacie do rymów... Nie, dziękuję, Jakóbie, pracuję.

Tak było czas jakiś. Z czasem przy pomocy muzy byłbym zapewne wygnał z myśli czarne oczy. Na nieszczęście, tak byłem nieostrożny, że zobaczyłem je raz jeszcze. I wówczas wszystko się skończyło; głowa, serce, wszystko uwięzło. Było to tak:

Od owych zwierzeń swoich nad brzegiem Sekwany, Jakób nie mówił ze mną więcej o miłości swojej, ale z miny jego widziałem, że nie szło tak jakby chciał... W niedzielę zawsze smutny wracał od Pierrotte'ów. W nocy słyszałem go, jak wzdychał, wzdychał... Jeżeli pytałem go: „Co ci jest, Jakóbie?“ Odpowiadał mi szorstko: „Nic mi nie jest.“ Ale z samego tonu mowy jego widziałem, że mu coś jest. On tak dobry, tak cierpliwy, okazywał mi teraz często zły humor swój. Czasami patrzał na mnie, jak gdyby był zagniewany. Domyślałem się, że przyczyną tego było jakieś niepowodzenie w miłości; ale ponieważ Jakób uparcie milczał, i ja przeto nie śmiałem mówić mu o tem. Jednakże pewnej niedzieli, kiedy wrócił więcej niż kiedy ponury, chciałem dowiedzieć się nareszcie, jak rzeczy stoją w istocie.

— Co ci jest? Jakóbie — rzekłem biorąc go za ręce... No jakże, nie idzie *tam?*

— Nie... nie idzie. . — odrzekł mi biedny chłopiec z miną zniechęconą.

— Ale cóż się dzieje? Czy Pierrotte spostrzegł co? Czy to on jest przeciwny temu, byście się kochali?...

— Oh! nie! Danielu to nie Pierrotte przeszkadza nam... to ona nie kocha mnie i nigdy kochać nie będzie...

— Co za szaleństwo, Jakóbie! Zkąd możesz wiedzieć, że nigdy kochać cię nie będzie... A ty, czy powiedziałeś jej przynajmniej, że ją kochasz?... Nie. nieprawdaż?... A zatem...

— Ten, którego ona kocha, nie przemówił; nie potrzebował mówić, pokochano go bez tego...

— Doprawdy, Jakóbie, sądzisz, że fletnista?...

Jakób jak gdyby nie słyszał pytania mego.

— Ten, którego kocha, nie przemówił — rzekł po raz drugi.

I nie mogłem dowiedzieć się więcej.

Tej nocy nie spano wcale w dzwonnicy Saint-Germain.

Jakób cały czas prawie spędził u okna; patrzał na gwiazdy i wzdychał. Ja myślałem sobie: „A jeślibym poszedł *tam* popatrzeć na to zbliska... Jakób może się myli. Panna Pierrotte nie zrozumiała zapewne, ile miłości kryje się w fałdach krawatki tej... Ponieważ Jakób nie odważa się mówić o sercu swojem, może dobrze zrobiłbym, gdybym powiedział o tem w jego imieniu... Tak, to będzie najlepiej; rozmówię się z tą młodą Filistynką i zobaczymy.“

Nazajutrz, nic nie mówiąc Jakóbowi, wziąłem się do wykonania tego pięknego planu. Bóg mi świadkiem, że idąc *tam*, nie miałem żadnej ukrytej myśli. Szedłem dla Jakóba tylko dla Jakóba... Jednakże kiedy na rogu pasażu Saauon spostrzegłem stary dom Lalouette'ów z zielonem malowaniem i nadpisem na wystawie: *Porcelana i kryształy* uczułem lekkie bicie serca, które powinno było być przestrogą dla mnie... Wszedłem. W magazynie pusto było. W głębi fletnista zajęty był obiadem. Nawet jedząc, miał instrument swój koło siebie, na obrusie. „Żeby Kamilla wahała się między tym chodzącym fletem a moją matką Jakóbem, to być nie może... mówiłem do siebie idąc na górę. Wreszcie zobaczymy...“

Znalazłem Pierrotte'a przy stole; przy nim siedziała córka i dama wielkich zalet. Szczęściem, nie było oczu czarnych. Widząc mię wchodzącego, krzyknięto ze zdziwienia. „Nakoniec, otóż i on!— zawołał poczciwy Pierrotte gromkim głosem swoim... Że tak powiem... Wypije z nami kawę.“ Zrobiono mi miejsce. Dama wielkich zalet przyniosła dla mnie piękną filiżankę w złote kwiaty i usiadłem obok panny Pierrotte...

Dnia tego panna Pierrotte bardzo była ładniutka. We włosach tuż koło ucha — dzisiaj przypinają je inaczej — przypięła sobie małą różyczkę czerwoną, ale tak czerwoną, tak czerwoną... Między nami mówiąc, zdaje mi się, że ta mała różyczka to była czarodziejka, tak upiększała młodą Filistynkę. „A więc tak! panie Danielu — rzekł Pierrotte ze swoim grubym, przyjaznym śmiechem — więc to już rzecz skończona, nie chcesz przychodzić do nas...“ Próbowałem tłumaczyć się i mówiłem o moich pracach literackich. „Tak, tak, znam to, cyrkuł łaciński...“ przerwał mi Sewenolczyk. I zaczął śmiać się na całe gardło, spoglądając z miną porozumienia na damę wielkich zalet, która pokaszliwała, hem! hem! trącając mię nogą pod stołem. Dla tych poczciwych ludzi cyrkuł Łaciński znaczyć miał orgie, skrzypce, maski, petardy, szalone noce i t. d. Ah! zdziwiliby się bardzo, gdybym im opowiedział moje życie klasztorne w dzwonnicy Saint-Germain. Ale kiedy się jest młodym, to się człowiek nie bardzo gniewa o to, że go mają za nicponia. Przeciw oskarżeniom Pierrotte'a broniłem się słabo, przybierając skromną minkę: „Ależ nie, ale nie, upewniam pana... To nie tak jest“ Jakób śmiałby się bardzo, gdyby mię wówczas widział.

Kiedyśmy kończyli kawę, na dziedzińcu odezwał się flet. Wołano Pierrotte'a do magazynu. Zaledwie on wyszedł, dama wielkich zalet wyniosła się z kolei do kuchni na małą partyjkę z kucharką. Między nami mówiąc, sądzę, że największą zaletą tej damy było to, że bardzo zręcznie szachrowała kartami...

Kiedy zobaczyłem, że zostawiono mię sam na sam z różyczką czerwoną, pomyślałem sobie: „Pora nadeszła!“ i miałem już imię Jakóba na ustach, ale panna Pierrotte nie dała mi czasu przemówić. Głosem cichym, nie patrząc na mnie, odezwała się nagle: „Czy to panna Biała-Kukułka przeszkadza panu odwiedzać przyjaciół?“ Z początku sądziłem, że żartuje; ale nie, nie żartowała. Zdawała się nawet być bardzo wzruszoną, sądząc po zarumienionych policzkach i przyspieszonym oddechu. Pewnie mówiono przy niej o Białej-Kukułce, i wyobrażała sobie nie wiedzieć co. Mógłbym był objaśnić ją jednem słowem, ale nie wiem, jaka głupia próżność powstrzymała mię... Widząc, że jej nie odpowiadam, panna Pierrotte obróciła się ku mnie i, podnosząc swe wielkie rzęsy, które dotąd trzymała spuszczone, spojrzała na mnie.. Kłamię, to nie ona patrzała na mnie. Były to oczy czarne, oczy czarne łez pełne i pełne tkliwej wymówki. Ah! drogie czarne oczy, rozkoszy serca mego!

Było to tylko krótkie zjawisko. Długie rzęsy opadły prawie zaraz potem, czarne oczy znikły, i przy mnie była tylko panna Pierrotte. Prędko, prędko, nie czekając nowego zjawiska, zacząłem mówić o Jakóbie. Mówiłem, na ile był dobrym, prawym, szlachetnym, poczciwym. Opowiadałem o tem poświęceniu się, które nigdy nie słabło, o tem zawsze czujnem uczuciu macierzyńskiej opieki, którego prawdziwa matka pozazdrościć mogłaby. Jakób to żywił mię, odziewał, utrzymywał Bóg wie ceną jakiej pracy, jakich potrzeb osobistych. Bez niego, byłbym dotychczas tam, w tem czarnem więzieniu Sarlande, gdzie tyle wycierpiałem, tyle...

Na te słowa moja panna Pierrotte zdawała się rozrzewniać, i ujrzałem wielką łzę, która stoczyła się po policzku. Ja pomyślałem, że to nad Jakóbem i rzekłem do siebie: „Otóż i dobrze idzie.“ Stałem się jeszcze wymowniejszym. Mówiłem o smutku Jakóba i o tej głębokiej, tajemnej miłości, która truła mu serce. Ah! szczęśliwa, stokroć szczęśliwa kobieta, która...

Tu różyczka czerwona, którą panna Pierrotte miała we włosach, osunęła się nie wiem jakim sposobem i padła u nóg moich. Właśnie w tej chwili szukałem sposobu, w jaki delika-

tnie miałem zawiadomić młodą Kamillę, że ona to była tą kobietą stokroć szczęśliwą, w której Jakób zakochał się. Czerwona różyczka upadając dostarczyła mi właśnie sposobu tego. Mówiłem, że różyczka ta była czarodziejką. Podniosłem ją żywo, ale nie oddałem. „To dla Jakóba, od pani" — rzekłem do panny Pierrotte ze znaczącym uśmiechem. — „Dla Jakóba, jeżeli pan chcesz" — odrzekła panna Pierrotte wzdychając; ale w tejże chwili oczy czarne pojawiły się i tkliwie spojrzały na mnie, jak gdyby mówiąc: „Nie! nie dla Jakóba, dla ciebie!" A jak to mówiły, z jaką prostotą, z jakiem uczuciem czystem a silnem! A jednak wahałem się jeszcze, i musiały mi powtórzyć dwa lub trzy razy z rzędu: „Tak... dla ciebie... dla ciebie..." Wtenczas pocałowałem różyczkę i ukryłem ją na piersiach.

Tego wieczora, kiedy Jakób wrócił, znalazł mię jak zwykle pochylonym nad warstatem do rymów; nie dałem mu poznać, że wychodziłem z domu. Na nieszczęście, kiedy rozbierałem się, czerwona różyczka, którą zachowałem na piersiach, osunęła się na ziemię i padła koło łóżka: wszystkie te czarodziejki takie psotnice. Jakób postrzegł ją, podniósł i długo patrzał na nią. Nie wiem, kto z nas był więcej czerwony, różycka czy ja.

— Poznaję ją — rzekł mi — to z krzaku, który stoi *tam*, na oknie w salonie.

Potem oddając mi ją — dodał:

— Mnie nigdy nie dała kwiatka.

Powiedział to tak smutno, że mnie łzy w oczach zakręciły się.

— Jakóbie mój drogi Jakóbie, przysięgam ci, że do dzisiejszego wieczora...

Jakób przerwał mi łagodnie: „Nie tłumacz się, Danielu. Wiem dobrze, iż nie zrobiłeś nic, na zdradę moję... Wiedziałem o tem, wiedziałem, że kocha ciebie. Przypomnij sobie, co ci mówiłem: Ten, którego kocha, nie przemówił, nie potrzebował przemówić, pokochano go bez tego." Po tych słowach biedny chłopiec zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju. Ja, nieruchomie stojąc na miejscu z czerwoną różyczką w ręku, patrzyłem na niego. „Co się stało, musiało się stać. Oddawna już powiedziałem to. Wiedziałem, że jeżeli ciebie raz ujrzy, nigdy już nie zechce mnie... Oto dla czego tak długo nie prowadziłem cię *tam*. Z góry byłem zazdrośny o ciebie. Przebacz mi, tak kochałem ją... Nareszcie chciałem zrobić próbę i pozwoliłem ci pójść... Tego dnia zrozumiałem, że wszystko skończone. Po pięciu minutach patrzyła na ciebie tak, jak nigdy nie patrzyła na nikogo. Spostrzegłeś to i ty także. Oh! nie kłam proszę, spostrzegłeś to. Dowodem tego jest to, że więcej niż miesiąc nie chodziłeś *tam*; ale niestety! nie pomogło mi to... Dla takich jak ona nieobecność nie jest lekarstwem, przeciwnie... Ile razy byłem u nich, mówiła mi tylko o tobie, a tak naiwnie, z taką ufnością i miłością... Była to prawdziwa męczarnia dla mnie. Teraz skończyło się... Wolę tak."

Długo tak mówił Jakób, a zawsze ze słodyczą, zawsze z tym samym uśmiechem rezygnacji. Wszystko, co mówił, robiło mi przyjemność i przykrość zarazem. Przykrość, bo czułem jak był nieszczęśliwym, przyjemność, bo ze wszystkich słów jego świeciły mi czarne oczy, pełne myśli o mnie. Kiedy skończył, zbliżyłem się do niego trochę zawstydzony, ale nie puszczając z ręki czerwonej różyczki: „Jakóbie czy teraz nie będziesz mię już kochał?" On się uśmiechnął i, przyciskając mię do serca, rzekł: „Głupiś, będę cię kochał jeszcze więcej."

Była to prawda. Historja czerwonej różyczki nie zmieniła wcale mojej matki Jakóba; ani jego uczucia dla mnie. ani nawet humoru. Sądzę, że cierpiał mocno, ale nigdy nie pokazał tego po sobie. Ani jednego westchnienia, ani jednej skargi, nic. Jak dawniej chodził tam w niedziele i dla wszystkich był uprzejmy. Tylko węzły krawatki znikły niepowrotnie. Zresztą zawsze spokojny i dumny, zabijał się pracą i odważnie szedł drogą życia z oczami, utkwionemi w jeden cel: odbudowanie ogniska... O Jakóbie! moja matko Jakóbie!

Co do mnie, od chwili kiedy mogłem kochać oczy czarne swobodnie, bez wyrzutów sumienia, utonąłem cały w miłości mojej. Nie wychodziłem od Pierrott'a. Wszystkie serca zjednałem dla siebie; ceną jakich podłości, wielki Boże! Przynosić cukru panu Lalouette, grać partję z damą wielkich zalet, wszystko to było niczem dla mnie... Nazywałem się: Chęcią podobania się w tym domu. Zwykle, Chęć podobania się przychodziła koło południa. W tym czasie Pierrotte był w magazynie, i panna Kamilla sama na górze w salonie z damą wielkich zalet. Jak tylko wszedłem, oczy czarne pokazywały się natychmiast, i prawie zaraz potem dama wielkich zalet pozostawiała nas samych. Ta szlachetna dama, którą Sewenolczyk dał do towarzystwa córce swojej, uważała się za zwolnioną ze służby swojej, jak tylko mnie zobaczyła. Prędko, prędko do kuchni, i dalejże do kart. Nie gniewałem się o to; sam na sam z czarnemi oczami, pomyślcie tylko!

Boże! ileż przyjemnych chwil spędziłem w tym żółtym saloniku! Prawie zawsze przynosiłem z sobą książkę jaką, którego z moich ulubionych poetów i ustępy z nich czytałem oczom czarnym, które rosiły się łzami albo rzucały błyskawice, stosownie do miejsca. Tymczasem panna Pierrotte haftowała przy nas pantofle dla swego ojca, albo grała wieczne swe Rêveries de Rosellen; ale my zostawialiśmy ją w spokoju. Czasami jednak w najpatetyczniejszem miejscu czytania, mała ta mieszczanka odzywała się głośno z jakąś dziwaczną uwagą: „Muszę kazać nastroić fortepian..." albo! „Dwa ściegi za wiele zrobiłam." Wtenczas rozgniewany zamykałem książkę i nie chciałem czytać dalej; ale czarne oczy umiały patrzeć w taki sposób, że uspakajałem się natychmiast i czytałem znowu.

Wielką zapewne nieostrożnością było zostawiać nas tak samych w żółtym saloniku. Nas dwoje — czarne oczy i Chęć podobania się — nie miało razem trzydziestu czterech lat... Na szczęście, panna Pierrotte nie opuszczała nas nigdy, a była to warta bardzo czujna, bardzo rozsądna, bardzo przezorna, taka jakich potrzeba na straży przy prochowniach... Jednego dnia, pamiętam, siedzieliśmy, czarne oczy i ja na kanapie w salonie; był to ciepły dzień majowy. Okna były otwarte; firanki spuszczone opadały, aż do ziemi. Dnia tego czytaliśmy Fausta!... Po skończonem czytaniu, książka wyśliznęła mi się z ręki; przez chwilę siedzieliśmy tak przy sobie milcząc, w ciszy i półcieniu... Ona opierała głowę swą na mojem ramieniu. Na odkrytej szyjce widziałem błyszczące srebrne medaliki... Nagle panna Pierrotte ukazała się między nami. Trzeba było widzieć, jak prędko odprawiła mię na drugi koniec kanapy, a jakie przytem usłyszałem kazanie! „To bardzo źle, co robicie, kochane dzieci moje — rzekła do nas... Nad używacie zaufania które wam okazują... Trzeba powiedzieć ojcu o projektach waszych... No, Danielu, kiedy rozmówisz się z nim?" Obiecałem rozmówić się z Pierrotte'm wkrótce, jak tylko skończę mój wielki poemat. Ta obietnica uspokoiła trochę nadzorczynię naszę; ale od dnia tego zabroniono oczom czarnym siadać obok Chęci podobania się.

Ah! była to osoba bardzo surowa, ta panna Pierrotte. Wyobraźcie sobie, że w pierwszych dniach nie chciała pozwolić czarnym oczom pisywać do mnie; po niejakim czasie zgodziła się na to wprawdzie, ale z warunkiem, że wszystkie listy będą przechodziły przez jej ręce. Na nieszczęście, te prześliczne listy pełne miłości, jakie pisywały do mnie oczy czarne, panna Pierrotte nie tylko odczytywała je, ale często jeszcze dodawała do nich frazesa swego własnego wyrobu, naprzykład:

„... Smutno mi dzisiaj bardzo. Znalazłam pająka w szafie mojej. Pająk rano, smutek, wieczór!

Albo znowu!

„Nie rozpoczynać gospodarstwa z próżnemi rękami."

A potem wieczna piosenka:

„Trzeba powiedzieć ojcu o zamiarach waszych..."

Na co odpowiadałem zawsze to samo:

„Jak skończę mój wielki poemat!..."

VIII.

Odczytanie poematu w pasażu Saumon.

Nareszcie skończyłem go, ten znakomity poemat. Skończyłem, po czterech miesiącach pracy, i pamiętam, że kiedym doszedł do ostatnich wierszy, to mi ręce tak trzęsły się z gorączki, dumy, szczęścia i niecierpliwości, że pisać nie mogłem.

Był to wielki wypadek w dzwonnicy Saint-Germain. Przy tej zręczności Jakób stał się na dzień jeden dawnym Jakóbem, Jakóbem od kartonu i garnków z klejem. Oprawił pyszny zeszyt i sam własną ręką przepisał poemat mój; za każdym wierszem słyszałem nowe wykrzykniki podziwu i nowe wyrazy zapału. Ja, mniej wierzyłem w mój utwór. Jakób nadto mię kochał; nie dowierzałem mu. Chciałbym dać do przeczytania poemat mój komuś pewnemu i bezstronnemu. Na biedę moją nie znałem nikogo.

A jednak w restauracji nie jedną miałem zręczność zrobienia znajomości. Od czasu, jak zostaliśmy bogaci, jadałem w tylnej sali wraz z innymi stołownikami. Było tam ze dwudziestu młodych ludzi, pisarzy, malarzy, architektów, a raczej nasienie tego wszystkiego. Dzisiaj ziarno weszło; niektórzy z tych młodych ludzi pozyskali sławę, i kiedy widzę imiona ich w dziennikach, serce mi się ściska, mnie, co zostałem niczem, kiedy przybyłem do ich towarzystwa, cały ten młody świat przyjął mię z otwartemi rękami; ale że byłem nadto nieśmiały i nie wtrącałem się do dyskusji, prędko zapomniano o mnie, i znowu byłem sam między nimi wszystkimi tak, jak poprzednio w sali ogólnej. Słuchałem; nie mówiłem...

Raz na tydzień jadał z nami bardzo znakomity poeta, którego nazwiska nie pamiętam, ale którego ci panowie nazywali Baghavat, od tytułu jednego z poematów jego. W dnie te piliśmy wino po ośmnaście susów, podczas deseru

*

wielki Baghavat recytował poemat indyjski. Poemata indyjskie, to była specjalność jego. Jeden nazywał się *Lakçamana*, drugi *Daçaratha*, inny znowu *Kalaiçala*, a potem *Bhagiratha*, *Çudra*, *Cunacépa*, *Viçamitra*...; ale najpiękniejszym z nich był zawsze *Baghavat*. Ach! kiedy poeta recytował swego *Baghavat'a*, cała sala trzęsła się. Krzyczano, stukano, właźono na stoły. Z prawej strony mojej siedział mały architekt z nosem czerwonym; ten od pierwszego wiersza zaczynał łkać i przez cały czas ocierał sobie oczy serwetą moją...

Ja, porwany ogólnym zapałem, krzyczałem mocniej niż inni, ale w gruncie nie szalałem wcale za Baghavat'em. W ogóle wszystkie te poemata podobne były do siebie. Zawsze wchodził do nich lotus, kondor, słoń i bawoł; czasami dla odmiany lotus nazywał się lotos, ale za wyjątkiem małej tej różnicy, wszystkie te rapsodje równej sobie były wartości: ani uczucia, ani prawdy, ani fantazji w nich. Rymy za rymami. Prawdziwa mistyfikacja... Oto co myślałem w duchu o wielkim Baghavat'cie; może byłbym mniej surowy dla niego, gdyby mnie także proszono o wiersze; ale nie proszono mię o nic, i dla tego byłem bez litości... Zresztą, nie ja jeden byłem tego zdania co do poezji indyjskiej. Sąsiad mój z lewej strony nie gustował w niej również... Szczególna to była osobistość ten mój sąsiad z lewej strony: zatłuszczony, świecący się, wytarty, z wielkiem łysem czołem i długą brodą, w której zawsze wiło się kilka nitek makaronu. Był on najstarszym u stołu i najintelligentniejszym. Jak wszystkie wielkie rozumy, mówił mało, nie rozpraszał się. Wszyscy go poważali. Mówiono o nim: „Tęga głowa... myśliciel.“ Co do mnie, widząc jak się ironicznie uśmiecha, słuchając wierszy wielkiego Baghavat'a, powziąłem o nim bardzo wysokie wyobrażenie. Myślałem sobie: „To człowiek, co się zna na pięknem... a gdybym mu przeczytał poemat mój.“

Jednego wieczora, kiedy wstawano od stołu kazałem podać flaszkę wódki i zaprosiłem myśliciela, by wypił kieliszek jej ze mną. Przyjął; znałem jego słabość. Popijając, naprowadziłem rozmowę na wielkiego Baghavat'a i zacząłem obmawiać lotusy, kondory, słonie i bawoły. Było to zuchwalstwo z mojej strony; słonie tak długo pamiętają urazy!... Podczas kiedy ja mówiłem, myśliciel milcząc nalewał sobie wódkę. Od czasu do czasu uśmiechał się i potwierdzająco kiwał głową: „Oho... oho...“ Ośmielony tem pierwszem powodzeniem, wyznałem mu, że i ja także napisałem wielki poemat, i że chciałbym przeczytać mu go. „Oho... Oho... — odezwał się znowu myśliciel z niewzruszoną miną. Widząc go tak dobrze usposobionym, powiedziałem sobie: „Oto stosowna pora!“ i wyciągnąłem z kieszeni poemat mój. Myśliciel nalał sobie piąty kieliszek, spokojnie popatrzał, jak rozwijałem manuskrypt; ale w stanowczej chwili oparł swą rękę ze starej kości słoniowej na moim rękawie: „Słówko młodzieńcze — rzekł — zanim zaczniesz czytać, powiedz proszę... jakie jest twoje kryterjum?“

Spojrzałem na niego z niepokojem.

— Kryterjum!... — powtórzył straszny myśliciel, podnosząc głos... Jakie jest pańskie kryterjum?

Niestety! moje kryterjum... nie miałem go, nigdy nie myślałem o niem; widać to dobrze było po mojem zdziwionem spojrzeniu, po mojem rumieńcu, po mojem zmięszaniu.

Oburzony myśliciel powstał: „Jakto młodzieńcze, nie masz kryterjum!... W takim razie nie potrzebujesz mi czytać poematu swego... z góry wiem, co on wart.“ To powiedziawszy, nalał sobie jeden za drugim dwa lub trzy kieliszki, które były pozostały jeszcze w butelce, chwycił za kapelusz i wyszedł, przewracając pałającemi z gniewu oczami.

Wieczorem, kiedy opowiedziałem Jakóbowi przygodę moją, drogi brat mój wpadł w gniew ogromny. „Twój myśliciel — rzekł mi — jest głupiec... Co to jest mieć kryterjum?... Co to jest kryterjum?... gdzie się to wyrabia? Widział to kto?... Fabrykant kryterjum, a niechże cię!...“ Mój poczciwy Jakób! łzy miał w oczach, tak go zabolała zniewaga, jaka spotkała mnie i moje arcydzieło. „Słuchaj, Danielu — rzekł mi po chwili — przychodzi mi myśl jedna... Ponieważ chcesz odczytać twój poemat, to możebyś go przeczytał u Pierrotte'a, w którą niedzielę?...“

— U Pierrotte'a?... Oh! Jakóbie.

— Dlaczego nie?... Pierrotte nie jest wprawdzie orłem, ale nie jest też i gęsią... Ma bardzo zdrowy, bardzo jasny umysł... Kamilla, ta byłaby doskonałym sędzią, chociaż trochę stronnym... Dama wielkich zalet dużo czytała... Ten stary ptak Lalouette nie jest także tak bardzo ograniczony jak się wydaje... Zresztą Pierrotte ma znajomości między osobami bardzo wykształconemi; można byłoby zaprosić je na ten dzień... Co mówisz na to? Czy chcesz, żebym z nim pomówił o tem?...

Myśl oddania utworu mego pod krytykę sędziów w pasażu Saumon nie uśmiechała mi się wcale, ale tak mię paliła chęć odczytania go, że po chwilowym oporze zgodziłem się na propozycją Jakóba. Ten powiedział o tem nazajutrz Pierrotte'owi. Wątpliwa rzecz bardzo, by poczciwy Pierrotte zrozumiał o co właściwie chodziło, ale że widział w tem sposobność oddania usługi dzieciom panienki, więc nie wahając się odpowiedział: „dobrze“ i natychmiast rozesłał zaproszenia.

Nigdy jeszcze żółty salonik nie widział podobnej uroczystości. Pierrotte, chcąc mię uczcić zaprosił wszystko co było najmędrszego w świecie porcelany. W wieczór kiedy miało odbyć się czytanie, oprócz zwykłych gości, mieliśmy pana i panią Passajon z synem ich weterynarzem, jednym z najlepszych uczniów szkoły Alfort; Ferrouillat młodszego, farmasona, człowieka bardzo ładnie mówiącego i który właśnie w tym czasie wielkie miał powodzenie w loży Wielkiego-Wschodu; dalej państwo Tougeroux z pięciu córkami, co się jak świeczki uszykowały, jedna koło drugiej; nakoniec Ferouillat starszego, członka jakiegoś literackiego towarzystwa, najgłówniejszej osobistości wieczoru tego. Łatwo się domyślić, jak byłem wzruszony, ujrzawszy się wobec tego imponującego areopagu. Ponieważ zebrani goście wiedzieli, że wezwano ich po to, by wydali sąd swój o utworze poetycznym, więc też wszyscy ci poczciwcy uważali za konieczne, nadać fizjonomjom swym wyraz obojętny, zimny, surowy. Mówili między sobą głosem cichym, poważnie poruszając głowami jak sędziowie. Pierrotte, który nie widział w tej rzeczy nic nadzwyczajnego, patrzał na nich wielce zdziwiony. Kiedy już wszyscy zgromadzili się, zabrano miejsca. Ja siedziałem plecami do fortepianu; słuchacze otoczyli mię półkolem, z wyjątkiem starego Lalouett e, który gryzł cukier na zwykłem swem miejscu. Po chwilowej wrzawie nastała cisza i głosem wzruszonym zacząłem mój poemat.

Było to poemat dramatyczny, pompatycznie nazwany *Komedją sielankową*... Czytelnik pamięta zapewne, że w pierwszych dniach niewoli swojej w kolegjum Sarlande ten Mały zabawiał się, opowiadając uczniom swoim fantastyczne powiastki, pełne świerszczów, motyli i innych żyjątek. Z tych to trzech powiastek, ujętych w kształt rozmowy i rym, utworzyłem moją *komedję sielankową*. Poemat mój dzielił się na trzy części, ale tego wieczora u Pierrotte'a, przeczytałem tylko część pierwszą. Pozwólcie mi przepisać tutaj ten ustęp z *komedji sielankowej*, nie jako wyborowy kawałek literatury, ale jako dokument do *Historji tego Małego*. Wyobraźcie sobie, moi kochani czytelnicy, że siedzicie kołem w żółtym saloniku i że Daniel Eyssette cały drżący opowiada wam:

Przygody niebieskiego motyla.

(C, d. n).

KORESPONDENCJE.

Genewa, 28. października 1879.

(*Molinari o Szwajcarji. Jej różnojęzyczność a solidarność narodowa. Czemu zawdzięcza swoją oświatę i swój przemysł Szermierze wolności, Piotr Langfrey i Klaudjusz Tillier, Nana Zoli. Romans doświadczalny. La Nouvelle Revue*).

Co się przyczynia najwięcej do zespalania interesów narodowych, do rozszerzania i podniesienia oświaty, do podźwignienia przemysłu? *Wolność.* Dowodem Szwajcarja. Pozwólmy mówić w tym przedmiocie znanemu ekonomiście, Molinari'emu (*La rue des nations: visite aux sections étrangères de l'exposition universelle de 1878.* Paris, 1879).

„Nie ma narodu — powiada Molinari — coby się nie uważał za nieskończenie wyższy od innych i coby, mając władzę, nie uważał wskutek tego za swój obowiązek narzucić innym swoje instytucje, swoje obyczaje i swoją mowę. W ten sposób po utworzeniu królestwa niderlandzkiego w 1814 r., król Wilhelm I. postanowił język holenderski uczynić obowiązkowym w Belgji; w taki sam sposób, po powstaniu 1863 r., słowianofile moskiewscy wymogli, że zniesiono urzędownie język polski i zastąpiono go rossyjskim. Jasną jest rzeczą, że król Wilhelm I. był ożywiony jak najlepszemi chęciami, zmuszając swych nowych poddanych do wyrzeczenia się języka francuskiego, który słusznie popadł u Europy zachowawczej w podejrzenie z powodu nadużyć wymowy i literatury rewolucyjnej. Oczywistą także jest rzeczą, że słowianofile, skazując Polaków na zapomnienie mowy, której ci często używali na złe, i narzucając im język, z którego sami taką korzyść odnieśli, słowianofile byli przekonani, że okazali Polsce ogromną usługę. Niestety, jest to jedna z tych usług, które narody najmniej umieją dobrze oceniać. Belgowie wypędzili króla Wilhelma za to, że chciał ich uczyć holenderszczyzny wbrew własnej ich woli i należy się obawiać, ażeby słowianofile nie napotkali w Polsce takiejże samej czarnej niewdzięczności. Szwajcarja przeciwnie, w tej delikatnej materji trzymała się polityki laisser-faire, czyli lepiej powiedzieć, *laisser-parler* i może tylko cieszyć się z jej skutków. Mała jej ludność, obejmująca 2780000 głów, dzieli się niemniej jak na cztery języki: 1840000 mówi po niemiecku, 640000 po francusku, 150000 po włosku i 42000

po romańsku. I wszyscy żyją w jak największej zgodzie i jakkolwiek Szwajcarja jest prostą federacją, nie ma w Europie państwa, w któremby jedność polityczna była silniejszą a uczucie narodowe żywszem. Lecz jeżeliby jeden z tych czterech języków zechciał narzucić swą wyższość innym, jeżeliby np. Bern, powołując się na prawo większości, zechciał zmusić Genewę do mówienia po niemiecku, zgoda i jedność prysłyby na zawsze.“

Zawdzięczając także wolności, oświata w Szwajcarji szeroko ogarnęła jej ludność. W tym względzie powszechnie przyznano jej pierwszeństwo na zeszłorocznej paryskiej wystawie. W jednej tylko Szwajcarji wydatek na szkoły stanowi największą rubrykę w budżecie. W kantonach zurichskim, berneńskim, szafhuskim, bazylejskim, w Argowji, Turgowji, w kantonach tessyńskim, nefszatelskim i genewskim szkoły więcej kosztują aniżeli wojsko. Liczba szkół w Szwajcarji wynosi 7000, a liczba uczniów 420000 tysięcy. Większych bibljotek liczono w 1876 r. 25., a w nich było 920500 tomów; bibljotek zaś ludowych i szkolnych liczono 1629 a w nich 687950 tomów. W 1875 r. rachowano wszystkich stowarzyszeń naukowych, artystycznych i gimnastycznych 5652 z liczbą członków 230000. „Oto na prawdę — powiada Molinari — rozwój umysłowy, któregoby mogły pozazdrościć temu małemu krajowi największe i najpotężniejsze narody.“ Dział edukacyjny szwajcarski na wystawie zwracał powszechną na siebie uwagę. Mapy, książki szkolne, metody nauczania, plany szkół zjednywały ogólną pochwałę pedagogów. „Szwajcarowie mają powołanie do nauczania, a kantony Vaud i Genewa produkują na wywóz profesorów, tak samo jak kanton Grisons zaopatruje najodleglejsze kraje w cukierników. Stolica kantonu Vaud, Lozanna, jest jednym wielkim wychowawczym zakładem. A któreż miasto więcej niż Genewa zasługuje na nazwę uczonego?“ I zawdzięcza Szwajcarja szeroko rozpostartą swą oświatę głównie temu, że od czasów reformacji dawała na swojej ziemi przytułek wszystkim prześladowanym.

Lecz dziwniejszą jest rzeczą, że Szwajcarja zawdzięcza swój wielki przemysł wolności i niczemu więcej tylko *wolności*. Nie posiada ona obfitych kopalni węgla kamiennego, potrzebnego do fabryk; żelaza nie wydobywa także dostatecznej dla siebie ilości; wreszcie surowy materjał (bawełnę, jedwab, materje farbierskie) sprowadza z zagranicy. Nie ma ani rozległego jak n. p. Rosja — rynku, ani zewnętrznych kolonij, ani marynarki kupieckiej, którąby rozwoziła jej towary, ani marynarki wojennej, którąby protegowała jej handel. A tymczasem wystawa ostatnia pokazała, że Szwajcarja zajmuje miejsce w pierwszym szeregu państw przemysłowych. Jej wyroby bawełniane, jedwabne, wstążki, hafty, zegarki rozchodzą się po całym świecie. Maszyny, zbudowane w jej zakładach, budziły na wystawie podziwienie wszystkich znawców. Kantory handlowe szwajcarskie usadowiły się po najodleglejszych krajach. I czemu należy przypisać ten rozwój przemysłu? Może cłom opiekuńczym. Właśnie przeciwnie. Kiedy inne europejskie państwa zakazem przywozu pewnych towarów lub wysokiemi cłami starały się rozwijać swój wewnętrzny przemysł, Szwajcarja nic podobnego u siebie nie robiła. Sprowadzała więc taniej surowy materjał, węgiel kamienny, żelazo, maszyny i z tego skorzystała. „Fabryczny przemysł Szwajcarji — powiada Molinari — zawdzięcza swój rozwój systemowi zakazowemu państw sąsiednich“.

Zdaje się — jest to prawda widoczna, że dla rozwoju społecznego wolność jest niemal tak potrzebna, jak słońce dla pełni życia roślinnego, ale pomimo to, jakże powoli i ciężko upowszechnia się ta prawda. Przekonywamy się o tem, kiedy czytamy życiorys PiotraLangfrey'a,napisany przez de Pressensé'go (*Oeuvres complétes de P. Lanfrey.* L'eglise et les philosophes du XVIII siecle, avec une étude biographie par M. de Pressensé. Paris 1879), jakoteż kiedy czytamy w *Le Voltaire* życiorys Klaudjusza Tilliera, którego zapomniano było zupełnie i któremu dopiero teraz stawią posąg.

Piotr Lanfrey, autor głośnego niegdyś dzieła: „Kościół i filozofowie XVIII stul.“ i znakomicie napisanej „Historji Napoleona I“, był gorliwym bojownikiem wolności w ciężkiej dobie drugiego cesarstwa. Mając 15 lat uciekał z kolegjum Jezuitów, gdzie go wychowywano, ażeby iść walczyć do Polski; w 1848 r. przylgnął całem sercem do rewolucji i z rozpaczą patrzał na jej upadek; w czasie wojny francusko-niemieckiej służył jako ochotnik gwardji ruchomej. I zawsze ta promienna wolność, do której tylekroć wyciągał ręce, zdawała się być tak samo daleko jak i dawniej.

Któż to jest Klaudjusz Tilier? Nie tylko my pytamy o to, ale i Francuzi. A jednak jest to odważny i wytrwały szermierz wolności i niezwykły pisarz, który w Panteonie republikańskiej Francji zajmie miejsce między Proudhon'em i Pawłem Ludwikiem Courier'em. Zapomniano o nim, bo był głównie dziennikarzem; zapomniano o nim, bo pisywał przeważnie w dziennikach prowincjonalnych. Tillier był synem ślusarza, urodził się 21. germinala IX. roku. Do dziesięciu lat biegał boso nad brzegami Yonny. Póżniej rozmiłował się w książkach i chciwie czytał wszystko, co mu wpadło do rąk. Ukończywszy w 1819 r. kolegjum w Bourges, przybył do Paryża z rękopismem w tłumoku, rojąc o swojej przyszłej sławie. Daremnie szukał wydawcy, wyśmiewano go wszędzie i zamykano przed nim drzwi. Głód zmusił go do objęcia posady *maitre d'etudes*, kłopoty i utrapienia którego tak po mistrzowsku opisał Alfred Daudet w *Tym Małym.* Stało się z nim to samo, co i z Danielem Eyssettém. Za to, że ukarał syna „kury o złotych jajach dla dyrektora“, wypędzono go z zakładu. Nie wiedząc co począć, Tillier zaciągnął się do wojska i zwiedził Hiszpanję. Wróciwszy do domu w 1828 r., ożenił się i otworzył szkołę. W chwilach swobodnych zaczął pisywać wstępne artykuły do Indépendent, wychodzącego w Clomecy. Sprawiedliwość ludzka wzięła go za kołnierz i wrzuciła do więzienia. Wskazano mu tem właściwą jego drogę. Rzucił się więc odważnie na ciernistą ścieżynę i odtąd rozpoczęło się prawdziwe jego życie. Został dziennikarzem. Artykuły jego miały wielką popularność, przedrukowywano je w innych dziennikach. W 1871 r. zaczął wydawać w Newers dziennik *Association* i pisał tam poezje, powieści, polityczne i społeczne artykuły. Dziennik ten upadł, ale Tillier nie porzucił pióra. W ręku jego była to straszna broń przeciwko dzierżącym władzę. Umarł 24. października 1844 r. Nad jego mogiłą trawa porosła i milczenie niepamięci zaległo. Teraz dopiero przypomniano sobie zasługi Tilliera i 26. października postawiono pomnik nad jego zwłokami.

Nie wszyscy — jak widzimy — tacy szczęśliwi jak Emil Zola. O niczem dzisiaj tyle nie mówią w Paryżu co o jego *Nanie*. Ganią, chwalą, wydrwiwają, uwielbiają zawsze Nanę. Nana! Nana! Nana! rozlega się po całym Paryżu i po całej Francji. *Le Voltaire*, który drukuje tę powieść w odcinku, tłoczy dzisiaj stotysięcy egzemplarzy.

Nana, skrócone imię Anna, córka robotnika Coupeau i Gervaise, osób odegrywających główną rolę w powieści: *Assommoir*, rozpoczyna swój zawód jeszcze w tej ostatniej powieści. Odziedziczywszy złe skłonności swego ojca, wychowawszy się w atmosferze pełnej zepsucia, otoczona dokoła pokusami, Nana czekała tylko na sposobność, by rzucić się w objęcia ulicznej rozpusty. Sam ojciec popchnął ją do tego. Wróciwszy raz do domu pijany, zbił ją okropnie. Nana uciekła i z tydzień nie wracała do domu. Z rąk poszła do rąk, zwiedzając baliki ze swojimi kochankami. Wyzuła się ostatecznie z wszelkiego poczucia moralności i z cynizmem jawnym traktowała wszystko i wszystkich. To zepsucie i ten cynizm ułatwiły jej wejście na deski teatralne. Dyrektor powiedział jej otwarcie, że nie umie ona ani spiewać ani grać, ale to nic nie szkodzi, on ją przyjmuje, bo ona ma coś takiego co zapewni jej powodzenie. Dyrektor, jak się pokazało, znał dobrze swoją publiczność. Nana swoim pustym śmiechem, uliczną poufałością, werwą cyniczną wkrótce podbiła sobie dziennikarzy, artystów, finansistów, dygnitarzy. Ponętna bezczelnica rozciągnęła nad nimi swoje jarzmo niemiłosiernie rujnując ich materjalnie i moralnie. Niewolnicy pod tchnieniem rozpusty przestali być ludźmi a stali się sprośnemi bydlętami. Zola tych ludzi o pozorach cywilizowanych rozebrał do naga i ukazał publiczności jakimi są w rzeczywistości i czy zasługują choć na odrobinę szacunku.

W tymże samym *Le Voltaire* Zola ogłasza szereg artykułów pt. Le roman experimental, w których dowodzi, że metodę eksperymentalną zastosowaną z takiem powodzeniem przez Klaudjusza Bernard'a do biologji, można i wypada zastosować także do zjawisk społecznych, a więc i do powieści. Pozytywizm nowoczesny — jak widzimy — wkracza i do dziedziny beletrystycznej.

W podobnymże celu oparcia umysłowości i polityki na gruncie pozytywizmu, pani Adam, znana w świecie literackim pod nazwą Julietty Lamber, założyła nowy dwutygodnik: *La Novelle Revue*, który ma zastąpić dawniejszy wpływ „Przeglądu dwóch światów“ (Revue de deux mondes). Wyszły już dwa zeszyty. Na czele pierwszego zeszytu znajduje się piękna przedmowa, napisana przez samą panią Adam. Znakomity wykonawca kanału Suezkiego, Lesseps, umieścił artykuł o propagowanym przez siebie kanale międzynarodowym na międzymorzu panamskim. Amédée Le Faure, który przed laty porobił wyciągi staranne z mów i broszur socjalistycznych z czasów pierwszej francuskiej rewolucji, surową napisał teraz krytykę wielkich wojskowych manewrów. Kwestja wschodnia znalazła tłumacza w osobie jenerała Türra. Jedną z najpiękniejszych jednak ozdób pierwszego zeszytu jest poemacik Andrzeja Theuriet'a: *Włościanie.*

B. L.

Kronika tygodniowa.

(Muzeum narodowe w Sukiennicach w Radzie miejskiej krakowskiej. Portret Ajdukiewicza pani Modrzejewskiej. Marja Stuart na scenie lwowskiej. Ogólne zgromadzenie rękodzielników i przemysłowców we Lwowie. Żądane zmiany w ustawie przemysłowej. Spory w Towarzystwie muzyczn m. Nowa powieść Daudeta „Królowie na wygnaniu“).

Sprawa Muzeum narodowego w Sukiennicach, którego twórcą stał się Siemiradzki darowaniem swych „Świeczników“, zaczyna powoli przybierać wyraźniejsze kształty. Rada miejska krakowska, jak wiadomo, dała na użytek sale górne kazimierzowskiego gmachu, artyści złożyli pierwsze ofiary w datku, a obecnie wyznaczono z łona radców komitet do wypracowania szczegółowego projektu. Siemiradzki darował obraz krajowi, więc i muzeum w zarządzie kraju pozostać winno. Naturalnym jego opiekunem jest reprezentacja kraju, a więc Sejm i Wydział krajowy. To też komitet rady powinien starać się o szybkie przygotowanie projektu, żeby, gdy Sejm się zbierze, a co niedługo, jak się zdaje, nastąpić winno, można go było przedłożyć. Nie wątpimy, że z tej strony, myśl tak świetna, dozna poparcia nie słowem, lecz pomocą pieniężną.

Pierwszą i najkonieczniejszą rzeczą w tej sprawie jest wydanie odezwy do ogółu polskiego, zachęcającej do popierania muzeum, odezwy, któraby jasno wytknęła cele i wskazała korzyści, jakie z takiej instytucji wypłynąć mogą. Pamiętać o tem należy, że bez ofiarności ze strony tych, którzy posiadają zabytki sztuki, bez szczodrego przyłożenia się ogółu, nie można stworzyć rzeczy prawdziwie godnej nazwy muzeum narodowego. Jeśli zaś kto, wątpiący w dalsze losy, wahałby się darować, to może złożyć w depozycie, aż do czasu, który uzna za stosowny.

Dotąd nie mieliśmy wcale galerji, z której choćby jakie takie pojęcie o ogóle pracy w dziedzinie sztuki polskiej wyrobić sobie można było. Prace naszych artystów, jak liście rozproszone po całym świecie. Nie ma gdzie zobaczyć jaki duch z ich całości wieje, co stanowi odrębność naszych artystów od reszty świata, jakie są indywidualne cechy polskiej sztuki. Nie ma podstaw do wytworzenia polskiej szkoły, nie ma sposobu do napisania wyczerpującej historji polskiej sztuki, która bądź co bądź była tak potężnym czynnikiem w naszem życiu, szczególniej porozbiorowem, czy to, gdy przemawiała słowem przez usta poetów, czy, gdy w ostatnich a najgorszych czasach, mówiła językiem barw i kształtów.

W zbiorach prywatnych, w dworach szlacheckich kryją się nieraz rzeczy nie posiadające wielkiej wartości, drobne, lecz, które zestawione z innemi wypełniałyby luki, służyły do uzupełnienia obrazu całości. Dla tego też ci, co je posiadają niech nie myślą jakoby zbyt mało ofiarowywali i dążą ze złożeniem choćby najmniejszych rzeczy, skoro one tylko mogą mieć wartość dla historji sztuki. Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Zaraz po założeniu kamienia węgielnego muzeum, wyliczyliśmy pierwsze dary, ofiarowane przez zebranych w Krakowie artystów. Niektórzy darowali rzeczy gotowe, drudzy przyobiecali wykończyć nowe dzieła. Między innymi pan Ajdukiewicz, którego talent, jak to wszystkim wiadomo, należy do pierwszorzędnych, przyrzekł zrobić portret pani Modrzejewskiej i zaraz zabrał się do dzieła. Ma on być już na ukończeniu, a ci którzy go oglądali powiadają, iż należeć będzie do rzeczy najznakomitszych, które wyszły z pod pędzla Ajdukiewicza. Myśl uwiecznienia rysów pierwszej artystki polskiej, pracującej na polu, po którem nic nie zostaje „oprócz wspomnienia“, zasługuje na szczególne uznanie i niech przynajmniej zostaną w pamięci rysy tej, której słowa na razie porywają słuchaczy, ale z nią razem, znikną na zawsze jak dźwięki ginące w powietrzu.

* * *

Gdy dziś we Lwowie mowa o teatrze, to słychać co chwilę przypadkowanie imienia własnego Modrzejewska, Modrzejewskiej, Modrzejewską, O! Modrzejewska! Dziwny jakiś zapał Lwów ogarnął, tak zwykle zaspany i unikający teatru ile sił starczyło. Tymczasem naraz przy kasie natłok tak wielki, że docisnąć się trudno, dobijają się o bilety jakby od ich dostania życie zależało i na kilka przedstawień naprzód miejsca dostać nie można. Zdawałoby się, że jednym zamachem Lwów chce wynagrodzić i odrobić obojętność lat całych. Oby się tylko napowrót w dawnej apatji nie pogrążył!

Po Adryennie, Barbarze i Dalili, mieliśmy znów Adryennę i Dalilę, oraz Cecylją Caussade z „Naszych najserdeczniejszych“, Anielę ze „Ślubów Panieńskich“, Pannę Mężatkę i Marję Stuart Szyllera. Postacie te znakomicie odtworzone przesuwały się dzień po dniu przed naszemi oczyma. Lecz ktoby z wszystkich tych sądzić miał o grze pani M. nie widząc jej Marji Stuart, tenby sąd wydał fałszywy. Rola ta tak przewyższa inne dotychczasowe, z takiem mistrzowstwem jest oddana, że wobec niej zbladły inne. Obojętna publiczność wpadła po trzecim akcie tego dramatu w szał prawdziwy, a oklaskom i okrzykom końca nie było. Słusznie uważa tę kreacją pani Modrzejewska za najlepszą ze swoich i dobrze się stało, że dramat ten za jej przyczynieniem się jeszcze dwukrotnie na scenie naszej powtórzony będzie.

* * *

Rękodzielnicy i przemysłowcy, idąc za przykładem pierwszego impulsu z Czech wydanego, zebrali się w wiec, aby naradzić się nad zmianami, któreby w ustawie przemysłowej zaprowadzić się dały. Ministerjum zajmuje się właśnie sprawą tych zmian i wszelkie żądania zbiorowe tego rodzaju są na czasie.

Przemysłowcy owi żądali w dziesięciu punktach, które ogólne zgromadzenie uchwaliło, aby przedewszystkiem ograniczyć swobodę wydawania kart przemysłowych. Dziś każdy może otworzyć warstat szewski, wziąć sobie czeladników i zasilać publiczność taniej, lecz bez znajomości rzeczy wykonaną i lichą robotą, wyrywając jednocześnie z rąk fachowców pracę i zarobek. Według uchwały której wartość później rozbierzemy należałoby od kompetującego o kartę, wymagać wykazania się praktyczną znajomością rzeczy, a co ważniejsza i co dla nas szczególniejsze ma znaczenie, ogólnem wykształceniem, a więc przedewszystkiem ukończeniem szkoły ludowej, przed wstąpieniem do terminu, a dwuletniem pilnem uczęszczaniem do szkoły przemysłowej lub ukończonemi czterema klasami szkół średnich, przed otrzymaniem tak zwanego wyzwolenia i wpisaniem w poczet czeladników.

* * *

W kółkach naszych *trubadurków* znowu zamieszanie...

Przycichły walki dwóch wielkich obozów Markistów i Mikulistów, które dość już znudziły wszystkich mających niewielki pociąg do fortepianu, natomiast zjawia się nowe sitko na kołku. Z hałasem czternastu fortepianów grających jednocześnie wysuwa się naprzód sprawa Towarzystwa muzycznego, które podkopywane sporami wewnętrznej natury zaczęło się chylić ku upadkowi. Dyrektor artystyczny Mikuli rezygnuje z posady, działalność roczna zamyka się przy opłakanym stanie finansowym, i stosunkowo bardzo małej liczbie członków. Zgromadzenie ogólne z dnia 16 b. m. wyprowadziło na jaw całą sprawę i zaczęto szukać jej wątku.

Przedewszystkiem okazała się wielka obojętność u publiczności, która jak na polu literackiem tak i na polu artystycznem usuwa się u nas zupełnie od udziału. Pomimo swoich stutysięcy ludności, pomimo stanowiska miasta stołecznego Lwów nie może być uważanym za jedno z pierwszych ognisk życia literackiego i artystycznego. Umysły ludności uśpione są i nieczułe na te strony życia duchowego, to też ono się wcale nie rozwija. Ani literatura ani sztuka nie dają znaków życia. Miasto tak wielkie dostarczyło towarzystwu muzycznemu zaledwie *dwustu* członków płacących regularnie po cztery złote reńskie. Ilość ta nie byłaby może za małą na Tarnów, Przemyśl, Stanisławów, ale we Lwowie jest ona po prostu śmieszną.

Dalej okazały się smutne nieporozumienia w łonie samego Towarzystwa. Chór nie chciał iść z Dyrekcją. Dyrekcja krzywiła się na chór i wywiązał się między niemi stosunek niemożliwy do wytrzymania. Mówiąc obrazowo, na sposób wschodni, pokazywano sobie wzajemnie „nosy“ i „języki“. Chór towarzystwa muzycznego składa się jak wiadomo z tęgich spiewaków, najlepszych jakich posiadamy i z ludzi poważnie a i z zapałem rzecz traktujących. Gotowość ich do pomagania w szlachetnych celach, ruchliwość, dobre i koleżeńskie stosunki pomiędzy sobą są wszystkim znane. Jak czysto śpiewają, tak też i bez zarzutu wszędzie się okazują. Lecz werwa trubadurska zawiodła ich do uważania się za zupełnie samodzielnych i niezawisłych od zarządu Tow. muz. i nie chcieli poddać się żadnym wskazówkom z tamtej strony. Utworzyła się z tego niebezpieczna sytuacja, rodząca co moment kolizje, skutek „państwa w państwie“ i te stosunki muszą być usunięte inaczej kość niezgody ciągle się znajdować będzie między dwoma obozami.

Panowie pogódźcie się, na rany boskie, i niech muzyka, która łagodziła szalone zapędy Saula gdy dobywała się z arfy Dawida, rozczulała zwierzęta i głazy, gdy Orfeusz jej się oddawał, niech ta córa muz nie nuży nas ciągłem drażnieniem nerwów, przy czynnej pomocy swych adeptów i wielbicieli.

* * *

Dawno już u nas minęły te czasy, kiedy jakieś nowe dzieło, powieść, nowy poemat, nawet nowy wierszyk, tak poruszały umysły że wszyscy o tem mówili, entuzjazmowali się, sprzeczali, a przedewszystkiem... czytali. A były u nas takie chwile i to nie jedna... Dziś spokój zapanował i zobojętnienie tak wielkie, że trzeba wysiłków olbrzymich, najjaskrawszej reklamy, nieznośnego hałasu, żeby na rzecz nawet najlepszą zwrócić uwagę. Zapanował spokój złowrogi, przygniatający talenta, dozwalający mierności zajmować miejsce obok rzeczy niepospolitych. Cisza obojętności spotyka wszystko co się w druku pojawia. Jakże wielka, jak smutnie odbijająca różnica od tego co się na Zachodzie

dzieje, od tego ruchu umysłowego, który po każdem znakomitszem dziele w całem społeczeństwie się przejawia, od tych walk namiętnych, od tych sporów artystycznych pełnych werwy, dowcipu, w których cały inteligentny ogół udział bierze zachęcając talenta do pracy i do walki. Poemat lub powieść Wiktora Hugo zapowiadaną i oczekiwaną jest latami całemi, i każdy chwyta z ciekawością nowiny o postępach dzieła, przedzierające się z gabinetu sędziwego poety do szpalt dziennikarskich. Pojawienie się nowej komedji Sardou, powieści Zoli, Goncourta, Daudeta, Flauberta, jest faktem zajmującym publiczność całemi miesiącami. Są one przedmiotami rozmów w kawiarniach, klubach, salonach i na ulicy.

„Królowie na wygnaniu“, najnowsza powieść Daudeta, wyczekiwaną była gorączkowo, pisano do niej komentarze za nim wyszła i czytano ją w całym świecie gdy się ukazała. Drukuje się ona obecnie w polskiem tłumaczeniu w odcinku Gazety Narodowej.

Pojawienie się jej we Francji, wobec tego tłumu upadłych potentatów, których Paryżanie trącać mogą co chwila łokciami na bulwarach, ludzi wykolejonych z dawnego porządku rzeczy niczem niepowstrzymaną wolą narodów i intrygami równych sobie, szukających przytułku na ziemi rzeczypospolitej, w Paryżu, w kołach dających im zapomnienie wśród niezliczonych zabaw, było faktem, znajdującym się na ustach wszystkich. W fantastycznych postaciach wyszukiwano swych dobrych znajomych i przypominano sobie wypadki, które w powieściowem ubraniu przesuwały się przed oczami czytelnika.

Powieść „Królowie na wygnaniu“ należy do najlepszych utworów najznakomitszego z żyjących powieściopisarzy francuskich. Jestto poemat opiewający ostatnie chwile ras wygasających, ambicji prowadzących do upadku, charakterów słabych, które nieszczęście topią w brudzie paryskim, a w objęciu półświatka zapominają o troskach z ich stanowiska wypływających. To przyszli mężowie piękności cyrkowych, handlarze orderami, inicjatorowie zakulisowych skandalików. Fantastyczny król Ilyrji i książę królewski d'Axel, to ich typy skończone. Potężny dawniej władca nosi nazwę popularną *króla Rigolo* i na jarmarkach z pierników odtwarzają jego postać, a książę pretendujący do tronu odzywa się w klubie na wołanie *Queue-de-Poule!*

Obok tych marnych postaci przesuwają się tu i owdzie szlachetne, wierzące w swe powołanie, przywiązane do przykazań ich przodków lecz... bezsilne i mające na sobie wyryte piętno' *morituri*.

W powieści Daudeta świat ten odmalowany jest prawdziwie mistrzowsko, to też zasługuje ona na szczególniejszą uwagę i śmiało polecić ją możemy każdemu, kogo literackie rzeczy obchodzą.

Po ukazaniu się „Królów na wygnaniu“, pod zmyślone postacie bohaterów zaczęto podstawiać osoby królewskie i książęce żyjące i mimo zaprzeczeń ze strony Daudeta, mimo zaprzeczeń ze stron interesowanych, wersje te się utrzymują i obiegają z dziennika do dziennika. Główni bohaterowie król i królowa Ilirji, mają być wypędzoną parą władców neapolitańskich, książę d'Axel ma przedstawiać następcę tronu holenderskiego, książę Palma awanturniczego Don Carlosa, królowa Galicji Izabellę hiszpańską. Nie da się zaprzeczyć, że w ogólnych zarysach te postacie na myśl od razu się nasuwają, lecz jeśli się bliżej przyjrzy fabule, psychologicznemu rozwojowi charakterów — to przechodzi się do przekonania, że się ma do czynienia ze zmyśleniem opartem wprawdzie w głównych konturach na prawdzie, lecz zupełnie od rzeczywistości w szczegółach odbiegającem.

W każdym razie te analogje napsuły wiele krwi i to krwi płynącej wprost z pomroku dziejów, lecz której źrodło powoli wysychać zaczyna.

* * *

Hiszpanja nadsyła największy kontyngens do towarzystwa przez Daudeta opisanego. Ten najpotężniejszy dawniej z tronów, któremu hołdowało królestwo tak wielkie, że w niem słońce nie zachodziło, najbardziej się wahał w ostatnich czasach, podkopywany przez budzący się lud, możliwych i niemożliwych pretendentów i nieszczęścia od nikogo nie zawisłe. Tam najjaskrawiej widoczną jest cała marność dawnego systemu. Jakże dzisiejsze stosunki odbijają od dawnego ideału królewskości, od przepychu form zewnętrznych, najściślejszego ceremonjału, żelaznej autokracji.

Patrząc na te chwiejące się pozostałości, przychodzą na myśl obrazy dawnych czasów, stosunki które potem służyły za tło do tylu powieści i dramatów, a których dziś tylko śmieszne ślady pozostały. Dziś królowa może tam jechać spokojnie, obawiając się tylko rewolucji, dawniej królewskość była dla niej więzieniem całego życia.

Ileż nafantazjowano się na ten temat!

A było tam w czem grzebać, w tem nagromadzeniu wszystkiego co miało monarchiczne zasady podnieść do boskiej prawie wysokości, w tym ceremonjale, który teraz nas śmiechem politowania przejmuje...

Nasuwa się nam historyjka z owych czasów... Już więcej takich komedji nie będzie na świecie.

Przypomina się nam scena z historji ceremoniału dworskiego.

Młoda królowa budzi się. Dzwoni. Przybiega dama pokojowa, aby jej włożyć ubiór poranny. Lecz wchodzi zaraz jedna z dam dworu zajmująca wyższy urząd niż *Cameriera*, więc jej przysługuje prawo włożenia kaftanika na najjaśniejsze ramiona. Lecz, gdy jeden rękaw już jest przy pomocy pięknej sennory włożony, ukazuje się hrabina Sarepe i zazdrośna o swe prawa, ściąga rękaw, aby go napowrót włożyć na ramię swej pani. Biedna, mała królowa stoi tymczasem w swej cienkiej koszulce i zaczyna jej być zimno. Nareszcie szczęśliwie dostała się pod kaftanik i żąda dalszego ciepłego ubrania, aż tu wchodzi Donna Ines Concepcion księżna Puntab y Ferro, pierwsza dama dworu królowej i zdjąwszy kaftanik, zaczyna ubieranie na nowo. Małe, drobne ząbki najjaśniejszej kobietki zaczynają stukać o siebie, usta drżą, śnieżna pierś okrywa się gęsią skórką, a koniec ślicznie modelowanego noska staje się podobny do rozwijającego się pączka róży. Szczęściem, że Donna Assumption Candida Pedra Paz księżna di Felmentera y Vorese y Malpenna, ochmistrzyni dworu dopiero wtedy przyszła, gdy królowa miała już na sobie ciepły ranny negliż i ogrzewała przy kominie swe paluszki.

Gdzież się to wszystko podziało? Z rzeczywistości przeszło do powieści, dramatu, komedji. Któż się dziś z tego nie śmieje?

Dawniej śmiać się nie było wolno.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** *Teatrzyki konkursowe dla dzieci.* Pod tym tytułem wydała Księgarnia Polska wiązankę komedyjek uwieńczonych przez komisję konkursową. Razem ośm komedyjek tworzy dwie serje i każda sprzedaje się po bajecznie niskiej cenie (40 c). Na wydawnictwo to zwracamy uwagę rodziców i opiekunów, wszystkie bowiem zebrane tam komedyjki zalecają się tak pod względem scenicznym jak moralnym i pedagogicznym, a niektóre jak *Mały nauczyciel* są prawdziwem arcydziełem.

*** Ateneum, w zeszycie za miesiąc listopad r. b. zawiera: I. Siedmiu przed Tebami, tragedja Eschyla. Przekład Kazimierza Kaszewskiego. II. Stosunki gminne w Gal:cji, przez Józefa Kleczyńskiego. III. Wspomnienia i zarysy Albanji, przez A. Jabłonowskiego. IV. Glorja, Romans B. Pereza Galdora. V. Herbert Spencer, psychologja przedmiotowa, przez Władysława Kozłowskiego. IV. Rozbiory i sprawozdania. VII. Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza. VIII. Jubileusz Kraszewskiego, przez Włodzimierza Spasowicza. Ogłoszenie.

*** Biblioteka Warszawska w zeszycie za m. listopad r. b. zawiera: I. Franciszek Maksymiljan Ossoliński, przez Klemensa Kanteckiego. II. Nirwana wobec metafizyki, przez Seweryna Smolikowskiego. III. Przegląd Teatralny za r. 1878, przez F. W. IV. Tomasz August Olizarowski, przez Sewerynę Duchińską V. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem, przez Ant. Wrotnowskiego. VI. Kronika paryska, literacka, naukowa i artystyczna. VII. Kronika Poznańska. VIII. Nasi poeci w literaturze powszechnej, przez Feliksa Jezierskiego. IX. Przegląd Piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. X. Jubileusz J. I Kraszewskiego. XI. Wiadomości bieżące, literackie i artystyczne.

Sztuki piękne.

*** Na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły w ciągu ostatnich tygodni obrazy następujące:

Emilji Dukszyńskiej pastelowy „Portret młodej damy“, Stanisława Heymana dwa utwory: „Przy śniadaniu“ i „Portret damy“. Tytusa Maleszewskiego: „Portret“, Nadziei Pane: „Morze północne“. Wandalina Strzałeckiego: „W imieniny dziadzi“ i Franciszka Wastkowskiego: „Wybrzeże nad Pilicą pod Nowem-Miastem“.

W sali rzeźb umieszczono nowe dzieła:

Wiktora Brodzkiego dwa marmurowe popiersia, z których jedno J. I. Kraszewskiego, drugie Adama Mickiewicza; Hipolita Marczewskiego: gipsowe popiersie mężczyzny, oraz Teodora Rygiera: marmurowe popiersie Leopolda Kronenberga.

Prócz tego w pierwszym salonie obrazów zwraca uwagę pięć figurek drewnianych.

Przedstawiają one: „Dobrego pasterza“, „Anioła zwiastuna“, „Chrystusa na krzyżu“, tudzież „Hebę“ i „Bachantkę“.

Wykonawcą tych figurek jest samouczek Józef Baltazar Proszowski, pastuszek wiejski.

Pięć tych utworów świadczy już o niemałem uzdolnieniu młodego chłopca, który obecnie przyjęty został do szkoły rysowniczej i kształci się pod kierunkiem znanego artysty-malarza, pana Tytusa Maleszewskiego.

Teatr.

*** Najnowsza sztuka Wiktoryna Sardou.

Dyrekcja „Teatru francuskiego“ w Paryżu otrzymała już manuskrypt ostatniego dzieła znakomitego komedjopisarza.

Dla Paryżan jest to fakt przynajmniej tak wielkiej wagi, jak zamianowanie nowego gabinetu; wszyscy zajmują się tem, wszyscy mówią o tem tylko i płoną z ciekawości poznania tej literackiej nowalji. Tym razem ciekawość publiczności jest wyjątkowo podrażnioną; komedja Sardou ma być tendencyjną, ma odbijać w sobie ostatnie prądy wieku.

Autor osnuł swą sztukę na antagoniźmie, jaki dzisiaj między wiarą a ateizmem istnieje we Francji, na owej walce o prawa kościoła z polityką państwa, streszczającym się w ustawach Ferry'ego.

Bohaterem sztuki ma być człowiek honoru, bardzo szlachetnych i podniosłych zasad, ale człowiek

nie wierzący w Boga, ateista; serce pociąga go ku młodej dziewczynie, stanowiącej pod względem religijnych przekonań najzupełniejszy kontrast z nim.

Dziewczę jest gorliwą chrześcijanką.

Kolizja dwu serc, przedzielonych przepaścią, jaka dzieli wiarę od ateizmu, stanowi główny motyw akcji.

Sardou nie rozwija tu żadnych klerykalnych tendencji. bohaterka sztuki nie jest katoliczką, należy do kościoła reformowanego.

Założenie, jak widzimy, bardzo proste, ale podobno „robota“, djalog, sceniczność, te tysiączne sprężynki i efekta, któremi Sardou tak po mistrzowsku rozporządza, stanowić mają prawdziwe arcydzieło sztuki pisarskiej.

Rzecz dzieje się nad brzegami jeziora genewskiego, w kolonji anglo-amerykańskiej.

Bohaterką sztuki jest jedna z dwóch siostr, starsza; ma to być z szczególniejszą finezją i psychologiczną prawdą wycieniowana postać, młodsza dla kontrastu jest całkiem odmiennego temperamentu.

Żywioł komiczny reprezentowany jest przez dragona w spódnicy z pod sztandarów „kościoła wojującego“ w Niemczech.

Ci, którzy mieli już sposobność czytać tę najnowszą komedję autora „Dory“ i „Serafiny“, utrzymują, że pod względem subtelności w wycieniowaniu antagonizmu pomiędzy filozoficznemi przekonaniami ateisty a głęboką wiarą młodej bohaterki, Sardou przewyższył sam siebie.

Początkowo główne role przeznaczone były dla Sary Bernhardt i dla Wormsa, który pod względem dykcji i dystynkcji nie ma sobie równego artysty w „Teatrze francuskim“; po skończeniu sztuki pokazało się wszelako, że piękna Sara jest już za starą do roli bohaterki, Worms zaś za młodym na „zakochanego ateistę“, skutkiem czego musiano sztukę obsadzić słabszemi siłami.

KOBIETA NA BALU.

I.
W latach piętnastu.

Ach! jakżeż ja się wybornie bawiłam! Z początku bałam się być uważaną za dziecko, alem się rychło uspokoiła. Przetańczyłam dziewięć kontredansów, siedm walców, dwa mazury, a w kotyljonie wybierano mnie bardzo często. Mama powiada, że tem chciano mi zrobić przyjemność jako dziecku; mama wmawia to we mnie. żebym nie była próżną, ale doprawdy! ci panowie wcale nie mieli takiej miny, jakby ze mną tańczyli przez grzeczność jedynie. Oni wszyscy tacy uprzejmi, tacy grzeczni, przyjemni! Niapodobna powiedzieć który z nich podobał mi się najlepiej. Śnili mi się noc całą... i doprawdy, zdawało mi się, jakby czyjaś ręka pociągała mnie do siebie do tańca... Ach! jak to miło być tak pociągniętą!

Jakie to nieszczęście mieć lat piętnaście dopiero! Bóg wie kiedy znowu na bal pojadę! Na tym pierwszym znalazłam się wyjątkowo. Był to ślub Zosi; co prawda, druga moja kuzynka może wyjść także za mąż. Łucja nie jest już bynajmniej tak młodą, ma lat dziewiętnaście. O tak, tak, z pewnością pójdzie za mąż, a ja znowu będę tańczyć! Zdaje mi się, że już nie mogłabym się obejść bez tańca...

Jaką ja miałam śliczną sukienkę?! Obłok gazy, w którym się widziałam przed każdem lustrem... nie chciało mi się wierzyć, że to ja! To babcia kupiła i sukienkę i kwiaty. Miałam na sobie jej pierwiosnki, to najpierwszy kwiat.

Julka zapakowała wszystko do walizy, pozawijała w angielską bibułkę. Posłuży mi to na ślub Łucji. Ach! jakże pragnę żeby ona za mąż poszła! tańczyłabym znowu!

II.
W latach ośmnastu.

Karol ma szczególny sposób patrzenia się na mnie, który mi się każe domyślać... a jednak, gdy tańczy ze mną, prawie nic nie mówi. Nie zaprasza mię nigdy do kotyljona — zapewne dlatego, że o mnie jeszcze nie mówią. Żeby się jemu podobać, trzeba być bardzo poszukiwaną. Ja chcę być taką! trudne to dla panienki, ale dojdę do tego — a wtedy on się o mnie oświadczy, pewną jestem...

Co to jest, to „niewiadomo co“, które mają mężatki, a którego nam braknie? Ja czuję, że nam jeszcze czegoś potrzeba, i wszystko zrobię aby to zyskać. Są panny, którym się udaje!

Usłyszałam wczoraj rozmowę, o której myślałam całą noc bardzo poważnie. Na tym balu był prawdziwy, mówią, bohater, Kaźmierz K., który w dwudziestu i dwóch latach zasługiwał się na polu bitwy. Niepodobny do nikogo — nie jest od innych piękniejszy, ale postać jego ma charakter wybitny, jakąś cechę szczególną, odróżniającą go od wszystkich, a zaciekawiającą. Nie umiem tego określić..

Zatrzymałam się tańcząc, przed kółkiem, w którem on się znajdował — oto co mówiono:

— Panna B... jest bardzo nieładna!

— Prawda — ale podobno walcuje tak, iż nie można się ostać jej nieprzepartemu urokowi.

— Nie wiedzieć co! to niemożliwe!

— Słuchaj Kaźmierzu! tylko co z nią tańczyłeś — czy zrobiła na tobie takie wrażenie?

Kaźmierz odpowiedział „tak“ — bo cały czas myślał... o mnie...

Jakim sposobem, myśląc o mnie, którą nazywają ładną — czuł nieparty pociąg do panny B...., takiej brzydkiej? a potem — cóż trzeba robić, żeby walcować w ten sposób?

Chciałabym bardzo wiedzieć to wszystko. Z pewnością jest tam coś bardzo ważnego, czego ja nie mogę uchwycić. Z tem wszystkiem, dziwne wrażenie sprawiło na mnie moje imię, wymówione w ten sposób — byłabym się zaczerwieniła, gdyby czerwienienie się tak bardzo już z mody nie wyszło.

Kaźmierz podoba mi się co najmniej jak i Karol — ale nie znam jego położenia...

Moja suknia udała mi się. Błękitna gaza zasiana srebrnemi gwiazdami — a we włosach mocno rozrzuconych także srebrne gwiazdy. Cieszę się, że będę miała brylanty — dobrze mi w nich będzie...

III.
W latach dwudziestu.

Daleko mniej bawię się na balu teraz, niż przed moim ślubem. Czy to zebrania nie tak wesołe, czy też moje usposobienie się zmieniło? Kobiety starsze odemnie są bardziej otoczone — one to w świecie panują — zkąd to pochodzi? Czy ztąd że ja zawsze kocham mego męża? Wiedzą wszyscy iż starając się o moje łaski, czas by daremnie tracili — to też nie starają się wcale! Szkoda! pragnęłabym tego — miałabym przynajmniej zasługę żebym odmówiła i pozostała nieczułą — a tak...

Pani X... wyglądała wczoraj bardzo pięknie. Boję się jej. Gdyby Karol zaczął jej żałować! Co do mnie — obecność tej kobiety miesza mnie. Jakiem prawem? To ona powinna czuć się zmieszaną spotykając się ze mną.

Przez nią nie tańczyłam kotyljona. W tych wszystkich figurach kobiety za często znajdują się przy sobie — a czuć jej rękę w mojej byłoby dla mnie zbyt wstrętnem. Zniecierpliwiłam Karola wyjeżdżając tak wcześnie — Karol chciał zostać na kolacji — to bawi wszystkich mężczyzn.

Nie wiem nawet z kim tańczyłam... Czekałam niecierpliwie końca balu i zawczasu cieszyłam się chwilą, w której mój mąż zacznie owijać mnie futrem. A on nie zrobił tego — zastąpił go kamerdyner...

Miałam jednak śliczną suknię atlasową cielistą, złotem haftowaną, w której mi było bardzo do twarzy; Karol nie spojrzał na nią ani jadąc — pilno mu było, ani wracając — chciało mu się spać...

Pani X... ubiera się w sposób niezrównany. Stwarza wszystko co ma na sobie — a nikt nie śmie jej naśladować. Jestto prawdziwy artyzm — ale kosztuje on drogo jej męża. Ja do niczego nie przyjdę kosztem Karola.

IV.
W latach trzydziestu.

Jacy oni wszyscy zabawni! Prawdziwe wyścigi, których mam zaszczyt być stawką! Doprowadza to do rozpaczy moje serdeczne przyjaciółki. Cóż mi to szkodzi? nic zupełnie...

Gdybym była tak zwyczajną jak one, zostawiłyby mnie w spokoju! Ja im zawadzam, a one nie zawadzają mi wcale. Niech mnie szarpią, póki im się tylko podoba — pewno nie ja im zabronię tej przyjemności. Im to pomaga, a mnie ani trochę nie szkodzi, bo nie czuję tego i nie zważam na nie nigdy!

Walcuję jeszcze, ale tylko z pierwszorzędnymi tancerzami- -trzech czy czterech może się moim wyborem poszczycić. Nadchodzi moja czternasta zima — a co roku moje powodzenie idzie „crescendo!“ Na tę chwilę doszło ono do zenitu, potem — nie łudźmy się — za trzy cztery lata będzie ono się zmniejszać szybko — brzydka pora spada jak piorun...

Czy też ja będę czego żałować? panowania? Może... mówią że to nie łatwo odzwyczaić się od tego. Ale nie będę żałować nikogo — bo nikomu w świecie nie dałam prawa być żałowanym przezemnie.

Już nie wiem nawet, jak byłam wczoraj ubraną. Teraz bal każdy zapada w mojej pamięci jak w otchłań — żyję chwilą obecną. Zresztą, to nie Worth ani Laferriére mnie ubierają, ale ja wyciskam swoje piętno na ich strojach...

V.
W latach czterdziestu.

Odnalazłam wczoraj zamierzchłe wrażenia minionej mojej młodości — żywe jak niegdyś, jak niegdyś świeże — a czystsze chyba. Pierwszy raz córkę na bal powiozłam, ona jest taką zupełnie jak ja w jej wieku — ja siebie w niej odnalazłam — jej powodzenie upajało mię więcej, niż wszelkie osobiste zdobycze w całem życiu mojem. Ja więcej nią się cieszę, niż kiedykolwiek cieszyłam się sobą samą; jest mi ona świetlanem przeszłości wspomnieniem, chlubą i dumą chwili obecnej, a radosną nadzieją przyszłości...

Tak — ona jest właśnie taką, jaką mieć ją chciałam, córka moja! zajęcie się nią mężczyzn tak żywe, a spojrzenia szczególniej innych matek, tak nienawistne — ręczą mi za jej wdzięk i piękność...

Ubrałam się wczoraj stTaranniej, aniżeli kiedykolwiek w życiu — chciałam żeby widziano, że w rodzie córki mojej kobiety długo zachowują piękność. Nie mam ani jednego siwego włosa — wszystkie moje zęby białe i równe — moja kibić smukła i zgrabna jeszcze, nie używam żadnych bielideł ani różu. Dla mnie to już dzisiaj obojętne zupełnie — ale dla niej zdać się może — a od wczoraj dodałam do naszej dawnej tarczy herbowej nowych słów parę: „Dla niej wszystko“.

VI.
W latach siedmdziesięciu pięciu.

Dopuściłam się prawdziwej hulanki — pojechałam na bal! wracając o pierwszej rano, z największą trudnością dobudziłam się tej biednej pani Marty — a Muszka nie poznając mnie tak szczekała jakby miała zamiar mię pożreć.

I cóż! nawet w moim wieku dobrzem zrobiła jadąc na bal...

Szkoda było na tamten świat się wynosić, nie widząc pierwszego balu mojej wnuczki!

Jaka ona śliczniutka, kochaneczka — chyba ładniejsza jeszcze od matki? Niezbyt zalotna, ale też i nieśmiałością nie grzeszy. Podobno, że to już teraz niemodne — i nieśmiałe dziewczęta uchodzą za podstępne i fałszywe — ja już dziś nie rozróżnię panny od mężatki — i nie wiem czy panowie, zapewne zręczniejsi odemnie, poznają się na tem... Ale cóż — jeżeli wszystkie teraz takie, nie mam mojej nic do zarzucenia — zresztą stara kobieta prawiąca kazania staje się gderą nieznośną — a więc powiadam, że wszystko jest jak najlepiej, i powinnam się cieszyć mając wnuczkę, którą tancerze wyrywają sobie.

Byłam jeszcze bardzo piękną w mojej aksamitnej sukni i w bzie białym! Ukrywałam o ile się dało moją zgarbioną figurę zwojami blondyny — tak, że tylko twarz było widać. Jest ona okrytą zmarszczkami — ale, kto jak ja, miał kiedyś „rysy“ — zachowa je do końca...

X. X.

Treść Nr. 43.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.